№ 25. Warszawa, dnia 11 (23) Czerwca 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

Pannie Wilhelminie

KOŚCIAŁKOWSKIEJ.

Tobie, moja droga Wilo, i wspomnieniu licznych długich wieczorów z Tobą spędzonych, powieść tę poświęcam.

Ileż razy rozmawiałyśmy ze sobą o różnych Martach i Maryach tego świata, uganiających się za chlebem powszednim albo za cnotą nieskazitelną, najczęściej — daremnie! Ileż razy z wiarą i niecierpliwością myślałyśmy wspólnie o tem, że przyjść musi czas, w którym pierwsze zdobywać będą cele swych pożądań pracą umiejętną, a drugie siłą wiedzy, woli i przekonań! Ileż razy jeszcze zastanawiając się nad przyczynami nizkiego poziomu rodzin i domów, przychodziłyśmy do wniosku, że dopóty opoka ta społeczeństw drżeć będzie w swych podstawach, dopóki kobiety nie nabędą pełnej wiedzy o szerokiem, ogólnem jej znaczeniu, i wiedzą tą a także miłością dla dobrze pojętych ideałów ludzkości, bronić się nie będą zdolne od wielkich namiętności i — najpospolitszych, drobnych kaprysów!

Czy zasługujemy obie na nazwę marzycielek i utopistek tą mocną wiarą naszą w lepszą przyszłość ludzkości w ogóle, a kobiet i rodzin w szczególności? Czas na to odpowie. Mnie się tylko zdaje, że ktokolwiek jest tak szczęśliwym, iż sam dojrzeć zdoła ideał, ten go innym ukazywać powinien. Ideały nie są chyba mrzonkami, skoro istnieją ludzie przed którymi stają one, to jak wyraźna jawa dzienna, to jak przedmiot wiecznej tęsknoty, to jak wyrzut sumienia.

Niech więc ci co nie umieją albo nie chcą spoglądać wysoko nazwą mię marzycielką, ale niech idealna moja Marya idzie w świat za prozaiczną siostrą swoją Martą. Co pewna, to że na mocy jednostajności przekonań i najlepszych serca ludzkiego pragnień, tak Marta jak Marya należą zarówno do Ciebie jak do mnie.

Autorka.

LIST I.

Marya Iwicka do Klementyny Dalskiej.

Ongród, r. 187... d. 10 Września.

List twój, droga Klementyno, dał mi wiele do myślenia i do pisania. Żądasz, abym w pobieżnych przynajmniej rysach skreśliła Ci historyą pierwszej mojej młodości. Zapytujesz, jakim był poranek który poprzedził tak pięknie, (według łaskawego wyrażenia twego), rozkwitłe, urodzajne południe?

Prawda; znamy się od niedawna a chociaż wystarczyło mi kilku miesięcy wspólnego z tobą życia aby Cię z całego serca pokochać, chociaż, co więcej, obdarzyłaś mię całą ufnością swoją, ja mało Ci mówiłam o sobie. Wierzaj mi iż nie był to brak zaufania i wartości. Poprostu nie przychodzi mi nigdy na myśl mówić o tem co było. Teraźniejszość pochłania mię zupełnie. W ogóle jestem zdania i teraz do kolan mych się czepia a pulchną rączkę swą wypręża aby mi pióro z ręki wytrącić. Jeżeli zaś w pisaniu mojem zabrzmi nuta jakaś radośna i pełna nadziei, pomyśl iż podnosząc głowę z nad papieru, spojrzałam na rozkwitającą wdziękiem wszelkich. Wiem owszem że wśród chromiejącego ze stron wielu porządku rzeczy na świecie, niezadowolenie rodzi powątpiewanie i protest a z powątpiewań tylko i protestów powstają wielkie myśli i nowe tory. Sama jestem malkontentką i buntownicą w wielu względach ale nie dla siebie, nie z uwagi na własne losy moje. Wypadki życia były dla mnie łaskawe, spełniły one wszystko prawie czego ze względu na wymaganie natury własnej pragnąć kiedy mogłam, oblokły mię dostojnością nad którą wyższej dla siebie nie widziałam nigdy, dały mi do spełnienia zadanie które pełnię z ochotą i spokojem, z nadzieją największej zasługi na jakiej zdobycie wystarcza mi miara sił moich. Powiadają że szczęśliwi nie mają historyi, co pewna, to że o dziejach starożytnych zapomnieć im łatwo. Wczoraj znika z pamięci ilekroć *dziś* pełnem jest myśli, uczuć i zajęć, nakształt czary po brzegi wypełnionej mocnym i orzeźwiającym płynem.

Jednak, zaczepiona przez Ciebie przeszłość moja, po raz pierwszy od lat kilku, wysuwa się przede mnie z cieniów zapomnienia wyraźna i pamiętna aż do najdrobniejszych szczegółów. Przygotuj się tylko z góry do otrzymywania ode mnie przez czas jakiś, nie listów już ale prawidłowo następujących po sobie części pamiętnika. Dla kreślenia go kraść będę codziennie parę godzin od licznych zajęć moich.

Jeżeli zaś w tych elokubracyach znajdziesz kiedy jaki gruby błąd stylowy, bądź pewną że spowodowała go nagle do głowy mej nadbiegła myśl o zapasach śpiżarnianych lub rachunkach handlowych, w załatwianiu których to ostatnich, często, jak wiesz, pomagam Michałowi. Jeżeli na papierze tobie przesełanym, usiądzie kleks jaki czarny i szeroki, wiedz że zrządził go najmłodszy malec mój, który

iż ludzie czynni i spokojni, nie mają skłonności do rozpamiętywania perypetyi własnych swych losów. Dział to stęsknionych, zawiedzionych i marzących malkontentów tego świata. Nie wnoś znowu z ostatnich słów tych, abym szydziła z malkontentów i rozumem twarz mojej najstarszej dziewczyny albo wyjrzawszy przez okno zobaczyłam gromadkę ludzi dobrze odzianych, zdrowych, wesołych, którzy po całodziennej w domu naszym pracy odchodzą ku własnym ogniskom, błogosławiąc dom który w zamian ich trudów daje im spokój o chleb jutrzejszy i ciepło życzliwości braterskiej. Nieraz pewno także znajdziesz mię smutną trochę, wątpiącą, przed wielu wyrazami mowy ludzkiej stawiającą znaki zapytania. Chwilowych tych upadków na sile ducha, nie przypisuj czemu innemu jak ogarniającej mię dość często wątpliwości o własnych siłach i skrupułom sumienia ściśle rachującego się z sobą samem i ze skruchą głęboką, za każdy błąd popełniony, upadającego czołem przed grozą własnego sądu; przypisuj je także tej tęsknocie za nieskazitelnym ideałem dobroci, rozumu i dzielności, który tkwi w mej myśli ale którego wysokiej miary nigdy w zupełności dosięgnąć nie mogę, albo ujrzanemu przeze mnie widokowi chmurnego czoła, stroskanych oczu, zbrudzonego sumienia, opadających bezsilnie rąk ludzkich.

Nie widziałaś nigdy Klementyno, rodzinnego miejsca mego. Jest to litewska wioska rzucona wśród wzgórz i lasów biegnących nad brzegiem Niemna. Zdrobniały wyraz: wioska, niech Ci przedstawi jedną z tych obszernych a we wsze dary i wdzięki przyrody obfitujących posiadłości szlacheckich. Imię przodków moich powtarza się wielekroć śród najświetniejszych i nasmutniejszych kart dziejów krajowych.

Dwór Porzewiński, zewnętrznym charakterem swym, wiernie odpowiada dziejom rodu który go zamieszkiwał od wieków. Siedziba to rozłożona na wielkiej przestrzeni gruntu, dwoma ogromnemi podwórzami zwrócona ku nieścignionym okiem rozłogom łąk i łanów, pełna cienia i szumu drzew odwiecznych, z szeroką rzeką majestatycznie płynącą u stóp jej wśród długich czarnych szlaków boru zamykającego widnokrąg. Pałacu ani zameczyska wyniosłego nie ma tu wcale, tylko pomiędzy gęstemi rzędami kasztanów i jodeł stoi dom drewniany, bardzo stary, z wysokim dachem, ze ścianami długiemi i nizkiemi, bo fundamet kamienny na którym wznosiły się niegdyś, ukrył się w ziemię, z wielkim szeregiem okien ogromnych, podługowatych, na pół łokcia zaledwie nad poziom wzniesionych, z głęboką, cienistą werendą od strony ogrodu, z widnym, szerokim i wysokim, domowi dorównywającym gankiem od strony podwórza. Ze wszystkich stron domu, tuż pod ścianami jego, ręką babki czy prababki mej jeszcze zasadzone, wzrastają dzikie wina i powoje. Wątłe rośliny te, przez długie lat dziesiątki, wzmogły się na niezwyczajną siłę. Ze zdrowem, wezbranem życiem, gąszcz ta zielona, obejmuje zewsząd nizkie, długie domostwo, liściaste festony zwiesza po gzemsach, długie ramiona zarzuca na rzędy zczerniałych gontów, krętemi wieńcami owija nawet grube, szare kominy. Na zewnątrz, okna domu błyszczą z pośród wzorzystych ram bujnej roślinności i gdzieniegdzie tylko bieleją za nią tynkowane ściany. Zwierzchnia ta szata budowy seledynowa na wiosnę, przybiera krwistą barwę w jesieni. W porze kwitnięcia przyrody, w Czerwcu i Lipcu, pociemniałą zieleń usiewają gęsto kielichy powojów, podobne zdala do białych i fioletowych gwiazd.

Gdybym puściła wodze wspomnieniom mym i uczuciu przywiązania do miejsc owych, długo i wiele opisywaćbym mogła. Lecz jest tam jedno miejsce szczególniej mi ulubione. Wzgórze to u kresu ogrodu i parku, nad samym już brzegiem Niemna wznoszące się na kilkudziesięcio sążniową wysokość. Że urwisko tam strome i wyzębione, więc nieostrożną lub w ciemności błądzącą stopę, od upadku strzegą zczerniałe, drewniane sztachety. Bokiem wzgórza, więc krańcem ogrodu, biegnie droga nieszeroka, bo dwie tylko osoby rzędem zmieścić się na niej mogą, ale długa bardzo, bo mijająca dwór, ogród i brzegiem Niemna sunąca kręto aż ku dalekiemu borowi. Każdy niemal krok uczyniony na tej drodze sprowadza niespodziankę oku i wyobraźni. Rozdziela ją bowiem z Niemnem cienka zasłona z drzew liściastych, które rozstępując się lub rozchylając gałęzie tu i owdzie, pozwalają dojrzeć to nagą, skalistą ścianę przeciwległego brzegu rzeki, to rzucony śród niej pęk czarnych sosen, tam jeszcze polanę zieloną jak szmaragd z kilku pośrodku rosnącemi olchami, albo wioskę szarą, wiszącą nad stromem urwiskiem, pólko jakieś z ciężkością pnące się po jałowym skłonie wzgórza, i bielejące najzwyklej kwiatem ubogiej gryki, niekiedy kwiecisty krąg łąki strumieniem zroszonej, z wieńcem mokrych niezapominajek dokoła, z kilku smukłemi brzozami, których liście drżą i złocą się w słońcu. Ileż razy chodziłam drogą tą, wzrok i myśl zawieszając we wszystkich jej obrazach, przyglądając się im w różnych porach dnia i roku, przy różanym świcie jutrzenki i płomienistych pożarach południa, w szkarłatnem oświetleniu zachodzącego słońca, w mglistych cieniach szarej godziny, pod gwiazdami ciepłych nocy letnich, wśród surowego bogactwa puszystych śniegów i brylantowych szronów! Ileż razy kwadranse długie mijały mi z początku drogi tej, na szczycie wzgórza, przy zczerniałych sztachetach, gdzie w dole, nizko płynęły spokojne fale, wielkiemi półkręgami marszcząc popielatą powierzchnię wody, drobne łódki rybaków mknęły z lekkością ptaszęcą i szybkością cieniów, za rzeką smutne sosny podnosiły się coraz wyżej po spadach urwiska, aż pod skłon nieba wzdęty w południe gromadami wełnistych obłoków, liliowy przy schyłku dnia, czarny wieczorem...

Wnętrze domu naszego nie było ani jasne ani wesołe. Przeciwnie, możnaby rzec że rozchodziła się w niem woń pary wieków, wielu smutków, rozmyślań, błędów i pokuty. Bywało tam wprawdzie niegdyś bardzo wesoło. Hucznie i często ucztowali pradziadowie moi, stoły obfite i długie zastawiali w pięciookiennej sali, obwieszonej ze stron wszystkich zczerniałemi portretami, ogrzewanej ogromnym kominem, którego wnętrze wyglądało jak przepaść, pochłonąć mogąca z pniem i koroną poćwiertowanego leśnego olbrzyma.

Gdy nareszcie ojciec mój dorósł i dojrzał, fundamenty domu dawno już były w ziemię zapadły, sufity nizko wisiały nad dębowemi posadzkami w czarne i żółte kraty, kasztany i jodły splotły się nad dachem w cieniste sklepienie, wino dzikie i powoje opuściły przezroczyste zasłony pomiędzy oknami a dziennem i słonecznem światłem. Taki też był dom ten w porze mego wzrastania, obszernym, mrocznym, najzwyklej napełnionym milczeniem, z którem zgodnie zlewały się monotonne albo gwałtowne szumy drzew w jesieni i zimie, które na wiosnę i w lecie z rzadka tylko i z oddali przerywanem było głośnem i radośnem życiem otaczającej dom przyrody. Możnaby rzec że bujna ta, bogata przyroda, i wnętrze stojącego śród niej domu, tworzyły dwa odłamy wzięte z dwóch państw odrębnych; z wiecznie odradzającej się przyrody i z martwiejącego, pod dotknięciem czasu, zmiennego życia ludzi. Przyroda, wiecznie i nieustannie rodziła drzewa, trawy, kwiaty, motyle i ptaki; lecz zwieszone wśród niej gniazdo ludzkie zniżało się, milkło, zamierało. Orły przestały w świat zeń wylatywać. Było już ono tylko wspomnieniem, śladem minionych czasów.

Do ciszy i zbyt posępnej powagi domu naszego, przyczyniało się zapewne i to także, iż brakowało w nim kobiety, żony, matki i gospodyni. Od dzieciństwa przywykłam czuć i rozważać, czem jest rodzina i dom bez matki i pani. Wlało to we mnie wiele uczuć i przekonań, które zarządziły potem mojem życiem.

Matki mojej nie znałam. Śmierć jednak nie była tym razem sprawczynią bardzo wczesnego sieroctwa mego. Wzrastając, wiedziałam że matka moja żyje kędyś. Domyślałam się raczej tego z zasłyszanych tu i owdzie słów urywanych, z tajemniczych szeptów, które przy zbliżeniu się mem milkły. Widocznie, na imieniu mojej matki ciążyła fatalna jakaś pamięć, której nikt nie chciał rzucać na dziecięcą mą głowę.

(d. c. n.)

Pieśni i skazki.

Ej pieśni! ej skazki ludowe!
Tułaczki wy z czarów krainy!
Durzycie młodzieńczą wy głowę,
Trujecie serduszko dziewczyny.

I gardzą sielanie swem siołem,
Rusałką być chce się dziewczynie,
A młodzian chce orłem — sokołem
Polecieć za morze — za sine.

Rusałka z księżyca promieni
Tka suknię, by wabić książęta,
A biedak z królewną się żeni,
Co była w pałacu zaklęta.

Ej pieśni! ej skazki ludowe!
Wy stare zwodniki młodzieży!
Tworzycie wy, patrząc na głowę,
Waryatów, poetów, rycerzy.

Autor P. miątek z Litwy.

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez L. S. W.

O niektórych najdawniejszych książkach.

Druk i drzeworytnictwo (ksylografia). Sztuka umierania. Pierwsze drukarnie i druki polskie. Podanie talmudyczne o Salomonie i Asmodeuszu. Centaur i Marolf (Marchołt), jako przeobrażenia Asmodeusza. Rozmowy Salomona z Marchołtem po polsku. Pierwsze drzeworyty polskie. Nowoodkryte ułamki kalendarzy polskich. Zwolennik emancypacyi kobiet w XVI wieku. Niektóre inne dawne książki.

(Dalszy ciąg).

Jaka była pierwsza *całkowita* książka po polsku wydrukowana — z pewnością niewiadomo dla tego, że jak powiada uczony K. Estreicher, z literatury polskiej XVI wieku połowa dzieł zaginęła, tak że nawet nie znamy ich tytułów. Nie tak jeszcze dawno za pierwszą *znaną* nam książkę polską uważano „Żywot Pana Jezu Krysta" przez Baltazara Opecia, drukowany u Wietora 1522 r., ale w ostatnich latach

znaleziono wiadomości o drukach wcześniejszych. Tak są ślady że jeszcze w 1508 r. Haller wydał po polsku książkę „O przykazaniach i grzechach," a w 1514 r. „Powieść o papieżu Urbanie." Książki te miały znajdować się w bibliotece Świdzińskiego i spaliły się w pożarze Krakowa 1850 r. Lelewel wspomina jeszcze o Arytmetyce polskiej, drukowanej około 1514 r., a Maciejowski wynalazł szczątki kalendarza, jak mniema, z 1516 r. gdyż były przyklejone do książki łacińskiej, w tym roku wydanej. Estrejcher wspomina jeszcze o Starym i Nowym Testamencie Unglera z 1520 i Zwierciadle umęczenia pańskiego z 1521 r. ale rzecz niepewna, czy te książki kiedy istniały. W każdym razie kalendarze należały do najwcześniejszych, jako najpotrzebniejsze i najpopularniejsze: zarazem jednak należą do najrzadszych, gdyż miały krótkotrwałą wartość i po upływie roku używane były na makulaturę lub na tekturę do oprawy innych książek. O dwóch niedawno odkrytych kalendarzach powiemy jeszcze później; teraz zaś zastanowimy się obszerniej nad najdawniejszą znaną dotychczas książką polską, z której resztki posiadamy: są to „Rozmowy Salomona z Marchołtem" wydane w Krakowie u Hieronima Wietora 1521 roku.

Postać króla Salomona jest, jak wiadomo, aż do dziś dnia bardzo popularną na wschodzie, żyjącą w mnóstwie przechowanych tradycyi. Zarówno żydzi jak muzułmanie i chrześcianie posiadają wiele legend o Salomonie, które posłużyły za przedmiot wielkiej ilości prozaicznych i poetycznych utworów literackich, zwłaszcza w wiekach średnich. Najdawniejsze z tych utworów należą, rozumie się, do żydowskiej literatury talmudycznej, znane pod nazwą *Midraszim*; powstały one w epoce utworzenia rozmaitych części składowych Talmudu (od V wieku przed Chr. do VIII po Chr.), same zaś legendy są bez porównania dawniejsze: wiele z nich zostało ułożonych przez rabinów, w kształcie komentarza do mniej zrozumiałych ustępów księgi Przypowieści i Ekklezyastes; inne z pewnością zostały bezpośrednio zaczerpnięte z tradycyi ustnej, ludowej. Najciekawszą z tych opowieści, która przeszła następnie do literatury europejskiej, jest powieść o stosunkach króla Salomona z księciem złych duchów, zwanym w Talmudzie *Aszmodai* (Asmodeusz). Pierwotny kształt tego opowiadania jest następujący.

Budując świątynię jerozolimską, Salomon potrzebował jakiegoś cudownego kamienia, którego możnaby było używać do ciosania innych kamieni, gdyż przy budowie domu Pańskiego niewolno było posługiwać się w tym celu żelazem. Zaczął więc król przemyśliwać o wyszukaniu i ujęciu Asmodeusza, który sam tylko wiedział o owym cudownym kamieniu. Wysłany przez króla Benajachu syn Ochejada udał się na pustynię, znalazł tam księcia złych duchów, spoił go winem i miodem, nalawszy takowe do wypróżnionych studni i okuwszy w łańcuchy poprowadził do Salomona. Oszukany Asmodeusz przy tej sposobności przeklął wino. (Przypow. Salom. XX. 1.) Książę złych duchów był to olbrzym: w drodze wyrywał drzewa z korzeniem i podpierał się niemi (jak grecki cyklop Polyfem), a że mógł chodzić tylko w prostej linii, łamał więc wszelkie zawady i burzył domy, znajdujące się na drodze. Wszelako gdy uboga jakaś wdowa zaczęła go błagać ze łzami, ażeby oszczędził jej chatkę, Asmodeusz skręcił na prawo, choć przytem złamał sobie żebro; ztąd przypowieść: „łagodny język łamie kości" (Przypow. XXV. 15). Widząc pijanego człowieka, który leżał w rowie, Asmodeusz wydobył go ztamtąd; słysząc jak ktoś żądał na targu butów, które przetrwałyby 7 lat, Asmodeusz zapłakał, bo wiedział że ten człowiek i 7 dni nie pożyje; podobnież zapłakał, spotkawszy orszak weselny, bo wiedział że szczęście nowozaślubionych nie potrwa 30 dni; zaśmiał się zaś, słysząc przepowiadającą przyszłość wróżkę, gdyż nie wiedziała że pod nią był wielki skarb zakopany.

Stawiony przed królem, Asmodeusz wyjawił mu tajemnicę cudownego kamienia i za jego wskazówką schwytano ptaka morskiego, który strzegł tego kamienia. Dalej opowiada legenda mądre rozmowy Asmodeusza z Salomonem i podstęp księcia złych duchów, który zrzucił z tronu króla i zmusił go udać się na wygnanie, o czem wzmianka znajduje się w księdze Ekklezyastes. Inna legenda dodaje, że Asmodeusz wszedł w stosunki z żoną Salomona i przy jej pomocy opanował tron, ale nie na długo, gdyż Izraelici, przekonawszy się że nowy ich król ma nogi kogucie, powstali przeciwko niemu, a Salomon, powróciwszy, odniósł tryumf nad przeciwnikiem i nawet, podług innej wersyi, kazał go powiesić.

Pierwotna ta opowieść talmudyczna przeszła w wiekach średnich najpierwiej do literatury bizantyjskiej. Wpływ starożytnej mytologii greckiej, której odgłosy błąkały się jeszcze pomiędzy ludem nawet w epoce chrześciańskiej, oddziałał na legendę o Asmodeuszu; z księcia złych duchów staje się on Satyrem albo Centaurem, w innych wersyach, wilkołakiem, co nie przeszkadzało jednak autorom opowieści uważać go czasem za brata Salomonowego. Wyobraźnia Greków dodawała coraz to więcej szczegółów do legendy o Salomonie i Centaurze; wkrótce ta legenda przeszła i do Słowian, gdyż znajdujemy ją w literaturze cerkiewno-słowiańskiej czyli starobułgarskiej X i XI wieku w zbiorach rozmaitych tradycyi kościelno-świeckich i apokryficznych czyli podrobionych opowieści i komentarzy biblijnych.

Odwieczny, wrodzony umysłowi ludzkiemu, pociąg do kontrastów znajdował szczególne upodobanie w postaci grubego Centaura, który stał się wcieleniem przebiegłości, rubaszności i zdrowego rozumu chłopskiego, obok Salomona, przedstawiciela mądrości wysokiej, naukowej i wykwintnej, którą przyznawano temu królowi na zasadzie apokryficznych wiadomości o dziełach przyrodniczych i filozoficznych, jakoby przez niego napisanych. W jednem miejscu staro-bułgarskiej przeróbki legendy Salomon zapytuje Centaura, zkąd pochodzi jego przebiegłość. Na to potwór daje mu takie wyjaśnienie: „za czasów króla Dawida raz matka twoja kazała zabić sowę i ugotować z niej jakieś lekarstwo. Wyjąwszy serce sowy, dała je zjeść tobie; i ztąd nabrałeś mądrości: polewkę zaś wylała na mnie, będącego wówczas w kuchni, i ztąd nabrałem przebiegłości." Z tego ustępu już widać, że tę postać Centaura, dawnego Asmodeusza, oczekiwała jeszcze nowa metamorfoza, przemiana w zwykłego śmiertelnika, gdyż trywialne owo objaśnienie przebiegłości potworu mogło stosować się jedynie do człowieka; przebiegłość i inne wyższe zdolności dawnego Asmodeusza czyli Centaura dostateczną miały podstawę w jego nadprzyrodzonej naturze.

Istotnie ta nowa i ostatnia metamorfoza Salomonowego towarzysza dokonała się w literaturze europejskiej, a mianowicie włoskiej i niemieckiej, dokąd legenda talmudyczna przywędrowała zapewne z Bizancyum, razem z innemi cudownemi opowieściami na tle klasycznej starożytności osnutemi (o Troi, Aleksandrze W. i t. d.), które dostarczały tak obfitych przedmiotów do fantastycznych poematów i romansów średniowiecznych. W XIV i XV wieku powieść o Salomonie krążyła po Europie w przeróbkach łacińskich, niemieckich, włoskich, a może nawet i czeskich; dawny Asmodeusz, późniejszy Centaur nazywa się już w nich Marolfem albo Markolfem i jest zwykłym śmiertelnikiem, choć szpetnym, grubym i sprośnym, niby ów wzór brzydoty Tersytes homeryczny. Wszelako Marolf występuje zawsze jako przebiegły, dowcipny i pod względem mądrości nie ustępujący samemu Salomonowi. Jest to zaród późniejszego typu Sanszo-Pansy, którego zdrowy rozum chłopski, chociaż wyrażający się w grubych i sprośnych słowach, często odnosi przewagę nad królewską sławioną mądrością; jest to także typ pokrewny „głuptaskowi," „kopciuszkowi" i „młodszemu bratu" w bajkach wszystkich narodów, gdzie, jak wiadomo, głupi okazuje się często mędrszym od mądrych. Zestawienie tych kontrastów było tem ponętniejszem dla średnich i niższych warstw społeczeństwa, że w przypisywanych sprośnemu głupcowi słowach i zdaniach ukrywa się nieraz gorzka satyra i zjadliwa ironia przeciwko niektórym stronom ujemnym spółczesnego ustroju skierowana, a przytem zamaskowana, jak to zwykle bywa w podobnego rodzaju legendach i baśniach. Starożytni bajarze wschodni wypowiadali gorzką prawdę możnym przez usta wprowadzonych do bajek zwierząt; podobnie i protestacye ludów średniowiecznych wybierały w podobnym celu mniej lub więcej przezroczyste alegorye. Salomon był w tego rodzaju opowiadaniach przedstawicielem klas wyższych, panujących, a Marolf — reprezentantem ludu, chłopstwa; ztąd nietylko lud znajdował zadowolenie w tryumfie chłopskiego rozumu nad pańską mądrością, ale kładł w usta Marolfowi mnóstwo złośliwych wycieczek przeciwko arystokracyi i duchowieństwu, niewiele troszcząc się o anachronizmy i o pierwotny miejscowy koloryt legendy. Główną treść tak zmienionej legendy stanowiły rozmowy Salomona z Marolfem, w których przebija satyra i rubaszny humor. Dla tych to właśnie powodów „Rozmowy Salomona z Marolfem" były książką chętnie czytywaną i popularną, a po wynalezieniu druku — jedną z pierwszych książek drukowanych i często przedrukowywanych. Są ślady że i w Polsce, w ciągu pierwszej połowy XVI wieku, było kilka wydań tych rozmów Salomona z Marchołtem (tak spolszczono imię Marolfa), a dochowane resztki pierwszej edycyi są właśnie, jak dotąd, najdawniejszą pozostałością *całkowitej* książki polskiej.

Jeszcze w 1840 r., p. Michał Poliński podał w „Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych," czasopiśmie wtedy w Wilnie wychodzącem — wiadomość o polskiem wydaniu „Rozmów Salomona z Marchołtem" i opisał dokładnie będące w jego posiadaniu cztery kartki z tej książki, na których były także dwie ryciny. Wkrótce potem p. Podczaszyński opisał w warszawskim „Pamiętniku sztuk pięknych" (1850—1854) inny urywek Marchołta, widocznie z innego wydania, znany już Lelewelowi i mieszczący w sobie cztery ryciny. Te ostatnie, jako najdawniejszy znany zabytek drzeworytnictwa polskiego, najbardziej interesowały badaczów, zwłaszcza gdy jednocześnie prof. Muczkowski odnalazł w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie same nawet klisze drzeworytów do Marchołta, w liczbie 11 i takowe wydał w r. 1849. Obecnie niewiadomo co się stało z urywkiem, posiadanym niegdyś przez p. Polińskiego, w którym mieścił się początek „Rozmów;" egzemplarz, zaś, który opisał Lelewel, składający się z czterech kartek tekstu i tyluż drzeworytów, znajduje się w posiadaniu p. Przyborowskiego w Warszawie. W roku zeszłym hr. Działyński, właściciel biblioteki kurnickiej i znany orędownik literatury ojczystej, postanowił przedrukować swoim nakładem obydwa urywki i polecił zajęcie się tem wydaniem bibliotekarzowi kurnickiemu p. Celichowskiemu. Przedruk wykonany został tym sposo-

bem, że urywek Polińskiego powtórzony został z „Wizerunków” wileńskich, czcionkami łacińskiemi, ale z zachowaniem dawnej pisowni; urywek zaś należący do p. Przyborowskiego odtworzonym został w wiernej podobiźnie tekstu oryginału, drukiem gockim, wraz z drzeworytami. O tej więc niezmiernie ciekawej książeczce powiemy słów kilka, zarówno pod względem treści jak i formy.

Tytuł książki w pisowni oryginału, następujący: „Rozmowy które myał król Salomon Mądry z marchołtem grubym a sprośnym, a wssakoż iako o nyem powyedaią barzo zwymownym zfigurami i zgadkami smyessnymi w Krakowye u Jeronyma Vietora 1521 r.” Na czele znajduje się przedmowa drukarza Vietora która jest zarazem i dedykacyą dziełka Annie z Jarosławia kasztelance Wojnickiej. W ciekawej tej przedmowie, pięknym językiem napisanej, opowiada Vietor o swojem postanowieniu drukowania książek polskich, w którym to celu przybył z Wiednia do Polski „nie tak dla chciwości bogactw albo myenya, ale wyęcej dla czci y sławy pospolitey tego sławnego krolestwa Polskyego;” opowiada, jak mu dopomógł mąż Anny, gdy jadąc do Krakowa, ugrzązł był z wozem w błocie; wspomina, że dworzanie tejże pani upominają się u niego ciągle o książki polskie i opowiada, że niniejsze dzieło własnym nakładem polecił przetłómaczyć z łaciny Janowi bakałarzowi z Koszyczek. Dziwi nas to cokolwiek, że Vietor mógł dedykować szlachetnej pani wysokiego rodu dziełko, w którem dużo wyrażeń grubych i konceptów zanadto rubasznych, ale widać nie było to wówczas rzeczą rażącą.

Po przedmowie następuje opowiadanie o przyjściu do Jerozolimy Marchołta z żoną, wraz z opisem powierzchowności obojga małżonków: opis ten, oczywiście, jest zbiorem najbardziej przesadnych rysów najdoskonalszej brzydoty. Dalej Salomon chwali się swoją genealogią od Judy; naśladując go Marchołt wylicza swoich i żony przodków z dwunastu „rodzajów chłopskich,” przytaczając gminne i obelżywe ich imiona. Następuje potem dyalog Salomona z Marchołtem, który właściwie nie jest rozmową, ale szermierką mądrych maksym i trafnych spostrzeżeń. Salomon przemawia po większej części wyjątkami z przypisywanych mu ksiąg Pisma świętego; Marchołt przytacza zdrowe chłopskie, często bardzo rubaszne i dziś w druku nie dające się powtórzyć zdania, przysłowia i porównania. Forma niektórych bardzo udatna, nawet wierszowana; pełno tu przysłów ludowych, później zaginionych. Oto kilka próbek.

Salomon. Słyszałem iżeś wielomowny a chytry aczkolwieś chłop a gruby, przeto gadaywa się (gadajmy), ya ciebie będę pytał, a ty mi odpowieday. *Marchołt*. Ten ci pierwey rad poczyna, ktory żadnie y źle śpiewa. *Salom*. Jeśli mi nawszystko będziess odpowjedał, tedy cyę wielkimi bogactwy ubogacę, a będziess znamieuity w moiem królestwie. *M*. Obiecuje zdrowie lekarz, gdyż nyema mocy, a w tem jest łgarz. *Sal*. Dobrzeciem rozsądził między dwiema swowolnyma niewiastoma i t. d. *M*. Gdzie są sprawy, tam bywa słuchanie, gdzie są niewiasty, tam bywa swarzenie. *Sal*. Pan Bóg dał mądrość w uściech moich i t. d. *M*. Ten który złe sąsyady miewa, o swey chwale przed wszystkimi spiewa. *S*. Dobra niewiasta a cudna jest okrasą mężowi swoiemu. *M*. Garniec mleka napełniony dobrze ma być przed kotką strzeżony. *Sal*. Niewiasta mądra buduje sobie dom, ale ssalona zbudowany kazi rękami. *M*. Garniec dobrze wypalony lepiey trwa niźli namoczony. A kto dobre dobrym roztwarza, rad się czystego napija y jesscze powtarza. *Sal*. Cudna rzecz iest byały czepiec na głowie niewieściey. *M*. Pisano jest: nie są takie rękawy, jako kożuch cały. Często pod byałym czepcem bywa mol niemały. *Sal*. Niechay cię kto yny chwali. *M*. Kiedy się ya będę ganił, nie będzeć myę żadny chwalił. Bo kto kolwiek się sam gani, bywa chytri i mierżony (nienawidzony). *Sal*. W duszę złą nie wnidzie duch mądrości. *M*. Kiedy ty klin biyes w drewno, zawsse sye streż tego pewno, być nye wypadł z drzewa tego a nie wybił oka twego. *Sal*. Człowiekowi bogatemu a mocnemu a wodzie nawalney nieprzeciwsię. *M*. Sęp dla tego łupi ptaka, iżby go ziadł nieboraka. *S*. Mowa krolewska ma być nieodmienna. *M*. Który wilka w pługu wodzi rychło ktęskności przychodzi. *Sal*. Nie chce się powiedać kiedy nikt nie chce słuchać. *M*. Nie nayduie ten strzały w czas, który strzela na gęsty las. *Sal*. Czego syę zły człowiek boi, to rado przychodzi nań. *M*. Ten sie sam zdradza y znisszeie, który złe czyniąc ma dobrą nadzieię. *Sal*. Ludzie swadliwi a zwarliwi maią być od towarzystwa ludzkiego odłączeni. *M*. Pani gniewliwa, dym a panewka dziurawa, ta troia rzecz iest skaza domowa. *Sal*. Nauczay syna twego z młodości ucząc go dobrze dzyałać. *M*. Ten ktory swą krowę doi, ten na targu nie postoi. Naiada syę mleka dosić, nyepotrzeb mu go stargu nosić. *Sal*. Odpowiaday głupiemu podług iego głupości, aby go nie miano za mądrego. *M*. Co opoka usłyssała, to dębowi powiedała. *Sal*. Spi pókić się chce. *M*. Potem ci leniwego znać, który nie spi kiedyby miał spać.

Po pierwszym ułamku następuje podobizna drugiego; przerwę zaś między obydwoma, wypełnił wydawca kilkunastoma zdaniami z łacińskiego wydania Marchołta. Szermierka zakończyła się tym sposobem, że król Salomon uznał się za zmęczonego i dalej rozprawiać nie chciał, Marchołt zaś gotów był jeszcze do dalszej szermierki, a więc zwycięzył. W tym drugim urywku Salomon żąda żeby Marchołt spędził z nim razem noc bezsenną, w czasie której Marchołt rozmyśla o kwestyach błahych i dziwacznych jak np. o ilości białego i czarnego pierza u sroki, o tem czy dzień jest bielszy czy mleko, czy można kobiecie powierzyć tajemnicę, a zagrożony przez króla śmiercią w razie, gdyby swoich wniosków nie usprawiedliwił, nazajutrz dowodzi ich prawdziwości. Tak np. twierdził, że dzień jest bielszym od mleka; ażeby zaś tego dowieść, postawił garniec z mlekiem w ciemnym pokoju na podłodze i zawołał króla. Salomon potknął się o garniec i upadł, a gdy w gniewie lżył za to Marchołta, ten mu odpowiedział: Czemużeś tak od mleka nie widział jako od dnia? W końcu występuje siostra Marchołtowa Czudacza, której przedtem Marchołt zwierzył się pod sekretem, jakoby zamierzał zabić króla, a następnie wystąpił przed Salomona z fałszywem oskarżeniem przeciwko tejże siostrze swej wymierzonem. Czudacza przez zemstę zdradziła powierzoną sobie tajemnicę i tem dowiodła prawdy słów Marchołta, że niewieście nic powierzyć nie można.

W odbitce tej druk gocki, pisownia jeszcze nie ustalona, ale mało już różniąca się od przyjętej ogólnie przez późniejszych pisarzy XVI wieku; wszędzie znajduje się *a* kreskowane (długie) dla różnicy od prostego (krótkiego); brzmienia nosowe (*ą* i *ę*) wyróżnione ściśle; za to *l i ł*, *c i ć*, *s i ś* niezawsze wyróżnione należycie; co do *i*, *j*, *y*, i brzmień *cz*, *sz* panuje również rozmaitość. Przyimki prawie wszędzie są pisane razem z wyrazami od nich zależnemi (np. *zmlekyem*;) ze znaków przestankowych używane są tylko kropka i przecinek; używanie dużych liter nieustalone.

Język wszędzie piękny i wyrobiony; bogactwo form i wyrażeń stawia go nietylko nie niżej, ale nawet wyżej od języka teraźniejszego. Oto mała próbka, z zachowaniem pisowni oryginału: „Potem gdy przeminęła noc, Salomon zmęczony od czucia położył się na swym miescu. Tedy Marchołt opuściwssy króla s kwapieniem bieżał do swej siostry imieniem cszudazy, a ukazuiąc się barzo smutnym rzekł do niey. Król Salomon barzo mię prześladuie, a iuż niemogę iego krzywd a prześladowania cierpieć, ale oto iuż biorę ten nosz (nóż) pod moie odzienie y zdradą go przekolę i zabiję. Ale miła siostro prossę cię niepowyaday na mię ani memu bratu Bufridowi ale tay. Któremu cszudaza odpowiedziała namileyssy bracye marchołcie wierzmi iż bych ci też miała umrzeć tedych bych cię nieoskarziła. Potem Marchołt zrostropnoscyą przyssedł na dwor krolewski, a gdy słońce wzessło, nassło sie ludzi pełen dwor a Salomon wstawssy złożnice (z łożnicy) siadł na swem stolcu.”

(*d. n*).

Kronika Naukowa.

przez **H. K.**

Nowa gwiazda w konstelacyi Łabędzia.

Pojawienie się nowych gwiazd na niebie i następne ich znikanie, należy do tych arcy rzadkich fenomenów, które silnie działają na wyobraźnię ludzką, a rozbudzają ciekawość i zapał uczonych, stawiąc ich przed ważną a nierozwiązaną dotąd jeszcze zagadką. Badania więc gruntowniejsze w tym przedmiocie od bardzo niedawna się prowadzą i dzięki udoskonaleniu teraźniejszych narzędzi astronomicznych, a szczególnie analizy widmowej, mogły doprowadzić do dokładniejszych rezultatów. Badania o których wspominamy, wywołane były nagłem ukazaniem się gwiazdy nowej w konstelacyi Łabędzia. Ale zanim bliżej z nią się zapoznamy, należy powiedzieć choć słów kilka o gwiazdach tego rodzaju.

Jak mówiliśmy, fenomen to rzadki, Humboldt w dziełach swoich, wylicza zaledwo dwadzieścia kilka pojawień się gwiazd takich. Pierwsza przez Hipparcha była dokładniej obserwowaną w roku 125 po Chrystusie, jako też i ta która za cesarza Hadryana zabłysła w konstelacyi Orła i świeciła blaskiem równym Wenusowi. Jednak dopiero od roku 1572 poczynają się prawdziwie naukowe obserwacye tych zagadkowych ciał niebieskich. W tym bowiem roku nagle ukazała się wielka gwiazda w konstelacyi Kassiopei i Tycho-Brahe, znakomity wówczas astronom szwedzki, badał ją we wszystkich jej zmianach. Odznaczała się ona szczególnem migotaniem światła i blaskiem nadzwyczajnym, przechodzącym blask Wegi, Jowisza, Syriusa, a nawet i Wenusa, tak że często w południe widzialną była. Nareszcie poczęła szybko się zmniejszać i znikła po siedmnastu miesiącach pobytu na niebie.

Kepler badał gwiazdę podobną w konstelacyi Łabędzia, która ukazała się w 1600 roku, a znikła w 1621, aby ukazać się znowu w 1655, a następnie to znikając to pojawiając się w różnych epokach, obecnie pozostaje widzialną.

Ciekawszą była gwiazda odkryta w konstelacyi Lisa przez Kartuza Anthelma. Zjawiła się ona w roku 1670 i zajaśniała odrazu jako gwiazda trzeciej wielkości, a w dni dwadzieścia zeszła szybko do piątej wielkości i we trzy miesiące znikła, a w 1671 ukazała się znowu jako gwiazda wielkości czwartej. Astronom Cassini, który ją badał, sądził że może oznaczyć jej peryodyczność i naznaczył czas jej zjawienia się za 10 miesięcy, ale napróżno jej oczeki-

wał, ukazała się ona wprawdzie, lecz we dwa miesiące mając tylko szóstą wielkość znikła na zawsze.

Dopiero w lat 177 potem, znowu gwiazda tego rodzaju zajaśniała na niebie. Hind odkrył ją w konstelacyi Wężownika w roku 1848. Była wielkości piątej, zmniejszając się stopniowo w ciągu lat dwóch, aż w roku 1850 doszła do wielkości jedynastej i tę aż do tej chwili zachowała. Gra jej światła w ciągu tych dwóch lat i zmiany dokładnie przez astronomów były badane. Kolor ciemno-żółty przechodził w czerwony i na odwrót.

Na nieszczęście w roku 1848 analiza spektralna (widmowa) nie była znaną jeszcze, a więc badania astronomiczne nie mogły być tak szczegółowe jak są teraz, a tem bardziej w XVI i XVII wieku. To też astronomowie ówcześni tworzyli o gwiazdach takich najprzeróżniejsze teorye i głowy sobie łamali nad wytłomaczeniem przyczyny nagłego pojawienia się tych dziwnych ciał niebieskich, zmiany blasku oraz barw ich światła, a co najwięcej powodu ich znikania.

Z tych zdań różnych najwięcej zwolenników miała hypoteza Tycho-Brahego, który mniemał że jest to zjawisko tworzenia się nowego ciała niebieskiego, albo przynajmniej nagłego zapalenia się rzadkiej materyi mgławic, z których sądził iż cała mleczna droga jest utworzoną, a właśnie gwiazda nowa z roku 1572. którą on badał, na skraju mlecznej drogi się ukazała. Tycho-Brahe utrzymywał, że materya mgławic skupiała i zapalała się, a palenie to pozór gwiazdy przedstawiało. Wtedy nie wiedziano jeszcze że droga mleczna nie jest złożoną z mgławic, że ją stanowi nagromadzenie gwiazd i gwiazdozbiorów niezmiernie od ziemi odległych i że w niej właściwych mgławic bardzo jest mało.

Wydoskonalenie teleskopów okazało, że te gwiazdy, które uważano jako *nowe*, bynajmniej nowemi nie są, a istniały i istnieją w tych samych punktach nieba, gdzie się ukazują przez wielkie powiększenie swego blasku. I tak gwiazda która w roku 1848 zajaśniała nagle w konstelacyi Wężownika, w katalogu Lalanda znajdowała się oznaczoną. Toż samo i co do gwiazdy nowej w konstelacyi Korony Północnej. Ta w roku 1866 zabłysła odrazu jako gwiazda wielkości drugiej, a w katalogach astronomicznych znajdowała się ona, ale tylko dziewiątej wielkości. Po sześciomiesięcznem istnieniu swojem, z tak podniesionem światłem, zeszła znowu do swej normalnej wielkości i dotąd jest taką jaką była przedtem. Dzisiejsi zatem astronomowie nie wierzą ani w nagłe tworzenie się ciał niebieskich, ani też w nagłe ich zniszczenie. Gwiazdy te są ciałami, które istniały w tymże samym punkcie gwiaździstej przestrzeni, zbyt oddalone lub zbyt małe, ażeby gołem okiem, albo i przy pomocy narzędzi mogły być widzialne, a które rozpalając się nagle, zdumiałym oczom naszym się ukazują, i po mniej więcej prędkiem zgorzeniu palnych materyi, do pierwotnej wielkości swej wracając nikną nam z oczu.

Idzie zatem o to jedynie, jakie przyczyny wywołują to powiększenie blasku. Nie mamy dość miejsca ażeby przytaczać dawniejsze teorye, zresztą dość ciekawe; wspomnieć musimy tylko o zdaniu uczonego jezuity z XVII wieku, O. Riccioli, które da nam dowód z jaką łatwością wprowadzano do nauki wpływy nadprzyrodzone; dowodził on że takie gwiazdy, mają dwie strony, jedną zupełnie ciemną, drugą zaś bardzo błyszczącą. Gdy Bóg chce dać ludziom jaką przestrogę, jaki znak nadzwyczajny, rozkazuje aby gwiazda nagle zwróciła się do ziemi swą stroną błyszczącą i stała się widzialną; poczem takimże ruchem znika z oczu. Dowcipnem było, bardzo łatwem, a może i do jakich innych celów wcale nie naukowych dogodnem, to tłomaczenie mądrego jezuity, ale dzisiejsza astronomia czemciś podobnem już zadowolnić się nie może.

Wszakże dopiero od roku 1866 jest ona na drodze wyśledzenia istotnej przyczyny tych zjawisk. W tym to bowiem roku zajaśniała nagle świetna gwiazda w konstelacyi Korony Północnej, a widmowa analiza była już wtedy dostatecznie udoskonaloną, ażeby przy jej pomocy można było zbadać naturę i skład chemiczny materyi płonącej na jej powierzchni.

Huggius i Miller z badań spektroskopijnych nad nią, otrzymali wtedy następne rezultaty.

Widmo tej nowej gwiazdy w Koronie Północnej, przedstawiało się złożone z dwóch widm bardzo wyraźnych, jedno zupełnie podobne do widma słonecznego, okazywało obecność fotosfery z materyi rozżażonych płynnych czy też stałych, otoczonej atmosferą pary chłodniejszej. Owa zatem fotosfera podobna była do fotosfery naszego słońca, ale drugie widmo, jakby dodatkowe, wykazywało inne źródło światła, a tem były gazy świecące. Dwie główne pręgi widma wskazywały, że gazy te przeważnie składały się z wodoru, a wielki blask jego dowodził, że temperatura tych świecących gazów wyższą była od temperatury samej fotosfery. Fakta te zestawione z nagłem zapaleniem się gwiazdy, oraz z szybkiem zmniejszaniem się jej światła, tak że gwiazda z drugiej wielkości zeszła na ósmą w ciągu dni dwunastu, naprowadzają na bardzo logiczne przypuszczenie: że owa gwiazda znalazła się raptownie objęta masą palącego się wodoru, który wraz z innemi gazami wywiązał się w ogromnej ilości, w skutek zapewne jakiego wielkiego kataklizmu. Kiedy palący się wodór na powierzchni tego niebieskiego ciała, wyczerpywał się a w końcu wygorzał zupełnie, płomień stopniowo się zmniejszał, a ztąd i blask gwiazdy wraz z jej fotosferą rozżażoną ciepłem tego ogniska i owe ciało niebieskie, wróciło do pierwotnego stanu i stało się dla oczu niewidzialnem.

Gwiazda o której na samym wspominaliśmy wstępie, dostrzeżoną została po raz pierwszy przez p. Schmidt'a, dyrektora obserwatoryum astronomicznego w Atenach. Natychmiast zawiadomił on o tem zjawisku p. Le Verrier dyrektora obserwatoryum Paryzkiego, donosząc iż w konstelacyi Łabędzia zajaśniała gwiazda nowa, bardzo błyszcząca, zdająca się być trzeciej wielkości, a żadnemi katalogami astronomicznemi nie objęta. Barwa jej była wtedy mocno żółta. Działo się to 24 Listopada ubiegłego roku, i od tego dnia blask jej zmniejszał się tak szybko, iż 8 grudnia była już tylko szóstej wielkości.

Skwapliwie wzięto się zatem do obserwowania tej nowej gwiazdy, p. Henry w obserwatoryum Paryzkiem a p. Littrou w Wiedniu. Tak samo spostrzegali oni to stopniowe a tak szybkie nie tylko zmienianie się jej wielkości ale i zmianę barwy, która z ciemno-żółtej przeszła powoli w niebiesko-zieloną.

Jednocześnie pp. Cornu i Cazin wzięli się do badań spektroskopijnych nad tą nową gwiazdą. Każdy z nich osobną czynił analizę widmową i do jednych doszli rezultatów, co tem bardziej potwierdza dokładność tej metody. Przekonali się najprzód ci panowie, że widmo jej złożone było przeważnie z pręg błyszczących, pochodzących zatem od płonących par albo też gazów, co także dostrzeżonem było i przy spektroskopijnych badaniach wzmiankowanej gwiazdy z roku 1866 w konstelacyi Korony Północnej. Dokładnie przytem rozróżnili oni pręgi charakteryzujące wodór, magnezyum i sod. P. Cornu składając obszerne sprawozdanie ze wszystkich tych badań swoich, kończy je następnemi słowami:

„Streszczając wyżej wymienione obserwacye, znajduję iż światło tej nowej gwiazdy zdaje się mieć skład taki jak i chromosfera naszego słońca. Wszakże pomimo wszystkiego co tak dalece pociągającem jest i wspaniałem w wyprowadzaniu wniosków, na zasadzie tych zebranych faktów, o stanie fizycznym nowej gwiazdy, jej temperaturze, oraz reakcyach chemicznych jakie na niej dziać się mogą, wolę się powstrzymać od wszelkich przypuszczeń w tym przedmiocie, sądząc że nie posiadamy jeszcze dostatecznych wskazówek i pewników, aby opierając się na nich, pożyteczne, albo przynajmniej mogące być skontrolowane, wyprowadzać wnioski. Zdaniem mojem jest, iż podobne hypotezy, po za granice nauki wychodząc zamiast przynosić jej pożytek, postęp jej raczej opóźniają.“

Przeciw temu zdaniu wystąpił energicznie p. Guillemin, znany astronom francuzki, wypowiadając zdanie zupełnie temu przeciwne: „Hypotezy w przedmiotach podobnych, mówi on, bynajmniej nauce nie przynoszą szkody, ale przeciwnie, o wiele przyczyniają się do jej postępu; zaciekawiając i podniecając umysł badacza, nieustannie nasuwają mu myśl nowych obserwacyi; nigdy zaś nie przynoszą szkody, chyba tylko tym, którzy swoje domniemania i rozliczne hypotezy, za prawdy dowiedzione uznając, do tyla są uparci i zarozumiali, iż nie chcą odstąpić od nich, kiedy nowe fakta je obalą albo dowiodą ich niedokładności, lub też nareszcie, kiedy już wyczerpane, przyniosły nauce jaki bądź pożytek a z nim i odrobinę postępu, jaki każda racyonalna hypoteza koniecznie w sobie zawierać musi.

PODRÓŻ DO KRAINY BAJADEREK.

Część pierwsza.

Suez, Aden, Moka.

(Dalszy ciąg).

Niezadługo bieg koni stał się jeszcze szybszym, tak dalece że zniewolony zostałem pochylić się po nad poręczą siodła, bo inaczej nie mogłem oddychać. Dwaj jeźdzcy poprzedzający mnie zdawali się stanowić jedną całość ze swemi rumakami, których bieg wyrównywał szybkości koni wyścigowych. Biegli naprzód w największem milczeniu nie zwracając uwagi na wzniesione kłęby kurzawy zatykającej oddech.

Jak długo tak biedz będziemy, gdzie będzie przystanek do zmiany koni? Takie pytania zaprzątały mój umysł; nie podróżując ani razu w podobnych warunkach, nie przypuszczałem ani na chwilę, aby jedne i te same konie miały nas donieść do miejsca przeznaczenia. Tymczasem cała noc przeminęła bez najmniejszej chwili wytchnienia, a co najdziwniejsza, że konie nie objawiły żadnego zmęczenia. Z pierwszym brzaskiem dnia spostrzegłem, że na koniu niosącym mnie nie można było dostrzedz ani piany ani kropli potu. Pomacałem ręką jego biodra, szyję i boki, skóra była nieco zwilgocona i to był cały objaw długiego biegu.

Podczas nocy przebyliśmy łańcuch gór Hedżaz i zamiast piaszczystej pustyni, rozciągały się naokoło nas obszerne pastwiska jakkolwiek porosłe krzakami i twardym zielem, ale dające wyborny pokarm dla inwentarza będącego jedynem bogactwem Arabów zamieszkujących jego okolicę.

Tu i owdzie można było dojrzeć kłaby drzew nizkich i pokurczonych, a obok nich zieleńszy mura-

wnik niż gdzieindziej wskazywał obecność źródła lub studni przeznaczonej dla podróżnych. W każdem takiem miejscu można było zarazem napotkać wiadra przeznaczone do czerpania wody. Check Ghemal i Mulah skierowali swe konie do jednego z takich kląbów, gdzie obfite źródło zapewniało zdrowy napój dla ludzi i koni. Tutaj postanowiono obrać stanowisko więcej dla wypoczynku ludzi niż koni, bo te po przebieżeniu jednym tchem trzydziestu mil francuzkich nie objawiały najmniejszego zmęczenia. Położenie moje było zupełnie odmienne; upadałem ze znużenia, i wątpiłem czy wieczorem będę mógł odbywać dalszą podróż w tych samych warunkach? Amudu jednak upewniał mnie, że po kilku godzinach wypoczynku i kąpieli, odzyskam jak najzupełniej stracone siły. Przede wszystkiem czułem gwałtowną potrzebę snu, tak, że nie myśląc o jedzeniu, położyłem się na kołdrze rozłożonej na murawniku, który po raz pierwszy w życiu wydał mi się tak miękki i wygodny, jakby łóżko urządzone starannie wedle wszelkich wzorów francuzkich.

Zapisanem jednak było w księdze przeznaczenia, że w tej przeklętej pustyni po każdem przebudzeniu usłyszę jakąś straszliwą nowinę.

Skoro otworzyłem oczy, zobaczyłem słońce nad zachodem, konie osiodłane i wszystko przygotowane do podróży.

Smutna twarz Amudu i ponure spojrzenia Check Ghemala nie zapowiadały mi nic dobrego.

Mulah poważniejszy niż kiedykolwiek podszedłszy ku mnie rzekł:

— Towarzysze twoi zabici zostali tej nocy w jednym z wąwozów góry Hedżaz.

Straszna nowina tak gwałtownie była udzieloną, że nie umiałem, a raczej nie mogłem udzielić ani jednego słowa odpowiedzi; oburzenie, gniew i zgroza sparaliżowały mi język.

Słuchałem machinalnie objaśnienia Check Ghemala tłomaczącego przyczynę popełnionej zbrodni.

Przyjaciele twoi mieli zanadto piękną broń, wypadałoby ją zatem oddać wraz z niewolnikami. Nie trzeba nigdy przychodzić na pustynię z karabinami zabijającemi szakale w odległości pół mili drogi.

— Jakto, więc ich zabito jedynie dla zabrania strzelb?

— Nie było innej przyczyny, odpowiedział Mulah, a ująwszy mnie pod rękę odprowadził nieco na stronę i rzekł:

— Czy nie widzisz jak Check Ghemal i jego ludzie spoglądają pożądliwie na twoje rewolwery i karabin. Wierzaj mi, gdybyś nie był jego gościem, a szczególniej moim, to z pewnością ciało twe posłużyłoby na pożywienie dla szakali i hyjen.

— Dlaczego to mówisz, kiedy wedle twego zdania, nie zagraża mi żadne niebezpieczeństwo?

— Mówię dlatego abyś zaniechał wszelkich zamiarów zemsty: twoi przyjaciele byli naszymi gośćmi, spełniliśmy zatem nasz obowiązek ścigając napastników. Skoro nie żyją wszystko jest skończonem i wierzaj mi, że każdy z ludzi Check Ghemala nie tylko nie udzieli ci pomocy, ale przeciwnie, gotów cię porąbać w sztuki, gdybyś mszcząc się śmierć niewiernego, podniósł rękę na któregokolwiek z Arabów.

Nadto Mulah objaśnił mnie, że wiadomość o smutnym losie mych towarzyszy powziął od okolicznych pasterzy; że kazał odszukać ich ciała i pochować przyzwoicie, tak aby ich nie pożarły dzikie zwierzęta; że kamienie ustawione w piramidę są znakiem ich mogił; że nareszcie zebrane suknie i papiery doręczą mi bez najmniejszego uronienia.

Wraz z Amudu obejrzeliśmy starannie ukazane nam przedmioty; nie ulegało wątpliwości że należały do dwóch naszych towarzyszy, a szerokie plamy krwi potwierdzały opowiadanie Mulaha o smutnym ich zgonie. Boleść moja była wielka, tak jakbym utracił osoby najbliższe memu sercu. Check Ghemal i Mulah objawiali również wielkie strapienie, ale czy szczere...? Kto wie czy dzieło całe nie było naprzód ułożonem... Czy owo odwodzenie mnie od zemsty, nie było jedynie sztucznym środkiem zapobiegającym, abym przypadkiem nie wykrył jakieś bliższe wskazówki o mordercach? Wszystko to było bardzo możliwem, ale cóż miałem zrobić sam jeden w pośród ludzi uzbrojonych, śledzących bacznie moje postępowanie? Nie pozostawało nic innego do zrobienia jak wrócić do Aden.

Dosiadłszy koni rozpoczęliśmy na nowo ów szalony bieg opisany powyżej, i po trzydziestu sześciu godzinach nieobecności wjechaliśmy do Aden równo ze wschodem słońca. Przebiegliśmy zatem przeszło sześćdziesiąt mil francuzkich na jednych i tych samych koniach. Wedle jednak Check Ghemala podróż nasza była wcale nieznaczącą przejażdżką, bo konie arabskie mogą robić pięćdziesiąt mil francuzkich bez wypoczynku.

Złożyłem na ręce naszego agenta dyplomatycznego papiery i rzeczy nieszczęsnych Hiszpanów, a po spisaniu aktów zejścia wszystko posłanem zostało do władz urzędujących w Manlli.

Zaszły wypadek uczynił tak bolesne wrażenie na moim umyśle, że postanowiłem bliższe poznanie Arabii odłożyć na później. Zmieniłem przeto kierunek podróży i zamiast przez Bombay do Indyi, postanowiłem po zwiedzeniu Mokki płynąć wprost do wyspy Ceylan.

Mokka położoną jest o pół dnia podróży morskiej powyżej Aden. Jest to nędzna mieścina zbudowana na sposób arabski, ożywiona jedynie nieco w chwili przybywania okrętów zabierających nowy zbiór kawy. Zrobimy nawiasową uwagę, że z kawą mokką dzieje się tak samo jak z szampanem, to jest że ledwie jedna tysiączna część kawy sprzedawanej pod tem nazwiskiem przez kupców europejskich jest prawdziwą. Wszystkie zbiory w Indyach, w Egipcie i w całej Arabii wyprawiane są pod szumnem nazwiskiem „Kawa Mokka.“ Będąc na miejscu po raz pierwszy widziałem jej kształt prawdziwy, różny znacznie od kawy zwyczajnej używanej w Europie. Sprostuję przytem błędne wyrażenie *ziarnka kawy*, jako błędne pojęcie o stanie rzeczy. Chcąc być dokładnym w mowie wypadałoby mówić pestki kawy, bo rzeczywiście kawa jest pestką tego owocu, mniej więcej wielkości wiśni, ulubionego przysmaku dzieci arabskich. Amudu upewniał mnie, że owoc kawy leczy wszelkiego rodzaju gorączki, ale nie miałem sposobności sprawdzić jego twierdzenia.

Za powrotem do Aden, nasz agent dyplomatyczny udzielił mi nowinę bardzo przyjemną, że nazajutrz statek Erymanthe wypływa do Ceylan. Zakupiwszy miejsce na okręcie kazałem natychmiast przenieść moje rzeczy, bo chciałem jak najspieszniej opuścić ziemię przedstawiającą w duszy mej tak bolesne wspomnienia. Amudu objawił gotowość jechania ze mną, chętnie zabrałem go z sobą przewidując że nie w jednym wypadku będzie mi bardzo użytecznym.

O godzinie siódmej rano parowiec ruszył w drogę. Niezadługo brzegi Arabii były tylko jakąś linią niebieskawą, przybierającą coraz bardziej kolor oceanu. Ze wzrokiem wytężonym w tym kierunku, żegnałem łzami gorącymi ciała dwóch moich towarzyszy spoczywających w piaszczystych okolicach góry Hedżaz.

Po kilku godzinach podróży wiatr wschodni ożywił powietrze, i spiek Arabii zastąpiony został nadzwyczaj miłym chłodem.

Ocean był tak spokojny jak jezioro, to też wszyscy podróżni byli na pokładzie grając w karty, szachy lub korek. Kilku Anglików gimnastykowało się na drabinach okrętowych.

Dwóch Francuzów z których jeden był fryzyerem a drugi nauczycielem fechtunku, robiło słodkie oczy do młodej Niemki z Berlina płynącej do Jawy. Przez dni dziesięć panowała zupełna jednostajność przerwana tylko kilkakrotnie spadnięciem ryb latających na pokład okrętu. Uczucia jednak Niemki ulegały szybkiej zmianie, bo najprzód fryzyer pobił w jej sercu naczyciela fechtunku, ale niedługo korzystał ze zwycięztwa, bo go zastąpił jeden z oficerów okrętowych: ten z kolei odsadzonym był przez jakiegoś negocyanta z Bordeaux, który ustąpił miejsca kupcowi jaj jedwabniczych. Komedya ta zabawna dla wtajemniczonych, była obojętną dla reszty podróżnych nudzących się niemiłosiernie. Nareszcie okrzyk *ziemia*, przerwał ogólne ziewanie. W oddaleniu zarysowana była jakaś linia czarna pokrzywiona w różnych kierunkach. To był Ceylan.

Z powodu utrudnionych przejść, mieliśmy wylądować dopiero nazajutrz rano, ale kapitan kazał popłynąć jak najbliżej wyspy.

Z ciekawością spoglądałem ku tej krainie, będącej wedle zdania wielu opisujących, prawdziwym cudem natury. Słońce zachodziło, ale udzielało aż nadto światła aby rozróżnić pyszną roślinność od koloru fiołkowego właściwego wszystkim okolicom gorącym. W oddaleniu sterczał dumnie cypel tak nazwany górą Adama. Niezadługo pyszny ten widok znikł nagle ustępując miejsca zupełnej ciemności. Wiadomo, że pod równikiem noc następuje po dniu bez przejścia, czyli nagle, bez stopniowego ubywania światła. Stałem długi czas na pokładzie pogrążony w dumaniach.

Myślałem o tej tajemniczej krainie, jaką zawsze żegna się ze smutkiem, a wita z prawdziwą radością. Myślałem o moich znajomych i przyjaciołach z Karikal, Pondiszery, Bengalu, Hajderabad, poznanych w czasie poprzedniej mej podróży, a którzy nie spodziewali się zobaczyć mnie tak prędko.

Późno już w nocy położyłem się spać w mej kajucie, a skoro nazajutrz rano wyszedłem na pokład okrętu, ten już przepłynął przesmyki morskie, wszedł do portu, zarzucił kotwicę i wszystko było gotowem do wylądowania.

Naprzeciwko nas widać było miasto Pointe-de-Galles zbudowane w półkole. Wszędzie, gdzie tylko oko mogło dosięgnąć, ziemia pokryta była drzewami, ziołami, trawami kwitnącemi: olbrzymie drzewa kokosowe rozciągnięte wzdłuż brzegów morskich z powiązanymi konarami przez kwitnące lijany jakby równobarwne wiązadła, stanowiły płot żywy nader powabny dla oka. Okolica była tem weselszą, że miliony ptastwa zawodziło śpiew radośny, nie troszcząc się o pożywienie wcale, bo natura ze zbytkiem prawie bez pracy człowieka zaopatrzyła wszystkie potrzeby istot żyjących. Cóż więc dziwnego, że poeci indyjscy zgodnie twierdzą, że wyspa Ceylan była rajem ziemskim czyli pierwotnem mieszkaniem Adama i Ewy.

W towarzystwie Amudu wsiadłem do łódki wyrobionej z pnia drzewa i po kilku minutach przepłyvwu, stopy nasze dotknęły rozkosznego murawnika wyglądającego jak wspaniały kobierzec.

Część druga.

Ceylan.

Point-de-Galles jest prześlicznem małem miasteczkiem, zbudowanem w pośród drzew i kwiatów.

Znaczenie jego handlowe wypływa z tego tylko względu, że posiada port posługujący za miejsce wypoczynku płynących z Chin do Kalkuty. Co do

powierzchowności, ta jest odmienną od innych miast indyjskich, ponieważ miasto nie jest podzielonem na dwie części, z których jedna zamieszkałą bywa przez europejczyków, a druga przez krajowców, jak to zazwyczaj bywa w innych miejscowościach, ale ludzie różnych narodowości zamieszkują właściwe sobie budynki, począwszy od bud indyjskich, aż do wspaniałych hoteli angielskich. Najrozmaitszego kształtu budowle popostawiane obok siebie, nadają miasteczku pewien wyraz niezwykły mający wiele malowniczości.

Jakkolwiek znaczną część mego życia spędziłem na podróżach, nie lubię jednak zajmować się geografią. Nie należę do rzędu ludzi podających ze ścisłością matematyczną: wysokości gór, szerokości rzek, i opisujących zwiedzoną okolicę wedle prawideł pomiarowych. Niewątpliwie, wiadomości podobne nie są bez znaczenia, ale każdy posiada właściwe sobie upodobanie i mnie przede wszystkiem zajmują obyczaje ludów, ich dawne legendy i t. p. Z prawdziwem zamiłowaniem przeglądam utwory literackie; siłą wyobraźni staram się ożywić ruiny dawnych świątyń, tak aby zrozumieć czem był w przeszłości i czem jest w czasach obecnych naród, do którego po raz pierwszy przybyłem. Ciekawych zatem chcących dowiedzieć się o epoce wiatrów peryodycznych, o ilości zbieranej herbaty na wyspie Ceylan, lub trzciny cukrowej i t. p. płodów, odsyłam albo do noworoczników żeglarskich, alboteż do targów handlowych w Marsylii, w Bordeaux, w Hawrze lub Liverpoolu. Z wiadomości dotyczących fizycznego stanu kraju powiem tylko: że Ceylan jest wielką wyspą położoną na morzu indyjskiem; że o osiem stopni oddaloną jest od równika; że naprzeciwko niej znajduje się przylądek Comozin, kończący Indostan, że nareszcie wyspa ta należy do Anglików.

Tak jak właściwe Indye tak i Ceylan należał kiedyś do Francyi i żyje w pamięci mieszkańców wspomnienie o dzielnym Sufrenie, który zdobył port Tainquematé i zabrał flotę angielską tamże schronioną.

Dwa uczucia ożywiać powinny serce każdego Francuza znajdującego się w tej części kuli ziemskiej: najprzód uwielbienie dla znakomitości takich jak Dupleix, Lally Tollendal, Suffren, których geniusz przedsiębierczy chciał obdarzyć Francyą, Indyami: a z drugiej strony pogarda dla nędznych biurokratów używających wszelkich środków, aby zniweczyć ich wielkie zamiary. Nasze kolonje uważane były za wyłączną własność kilku zbankrutowanych spekulantów wysysających z takowych soki żywotne i sprowadzających ich upadek wtenczas właśnie, kiedy posiadłości angielskie, duńskie i holenderskie, skutkiem udzielonej im swobody, zostawały w stanie kwitnącym.

Natychmiast po wylądowaniu w Point-de-Galles, podróżny oblężonym jest przez gromadę handlarzy rozmaitego rodzaju, zachwalających uporczywie posiadany przez nich towar. Jeden usiłuje zbyć rzadkie ptaki lub zwierzęta, drugi różne wyroby z hebanu lub kości słoniowej, trzeci kosztowności jak pierścienie, bransolety lub naszyjniki z pereł. Trzeba ich wszystkich odprawić bez najmniejszego względu, bo okazywane przedmioty są bez żadnej wartości, a mniemane kruszce są niczem inszem jak perłową macicą.

Wyspa Ceylan jest olbrzymim warsztatem tak nazwanych klejnotów fałszywych. Dzięki nabytej sławie o znajdujących się skarbach w jej wnętrzu i na brzegach, krajowcy sprzedają, szczególnie szlachcie angielskiej, za drogie pieniądze różne ozdoby i ci zazwyczaj dopiero za powrotem do Europy dowiadują się, że takowe nie mają najmniejszej rzeczywistej wartości.

Wedle przyjętego zwyczaju, wynająłem mieszkanie prywatne w Point-de-Galles, a jadać zamierzyłem przy wspólnym stole w hotelu wschodnim, gdzie z powodu znacznej liczby podróżnych przybywających z różnych stron, można było przepędzić czas bardzo przyjemnie.

Służącemu memu Amudu dawałem każdego poranku dwa fanons (moneta krajowa) wyobrażająca na nasze pieniądze sześćdziesiąt centymów. Drobna ta kwota pozwalała mu prowadzić życie książęce. W hotelu bazarowym, gdzie się stołował, dawano mu śniadanie i obiad złożone z ryżu, jarzyn, ryb i zwierzyny, a prócz tego miał jeszcze możność wypicia kilku kieliszków araku lub ulubionego Callou. Wedle jego pojęć teologicznych, trunek na ostatku wymieniony nie był wzbronionym przez Mahometa, ponieważ nie był wyrobionym przez białych. Amudu niezaprzeczenie posiadał bardzo wiele przymiotów, a nawet dał mi po kilkakrotnie dowody prawdziwego poświęcenia, ale niestety, któż jest bez wad? Słabą jego stroną było zbytnie zamiłowanie gorących napoi. Rozpoczynał zazwyczaj od Callou (*) jako niby dozwolonego przez proroka, ale skoro krew poczęła działać szybciej a imaginacya działać żywiej pod wpływem wypitych kieliszków, to zapominał jak najzupełniej tak o przepisach religijnych, jakoteż o swej pogardzie dla białych i z prawdziwym zachwytem pochłaniał ich wyroby, z nadanem mianem araku, koniaku, wina i absyntu. Opilstwo jego w czasie mej podróży było powodem różnych wypadków, czasami śmiesznych, czasami bardzo nieprzyjemnych.

Wszedłszy do sali hotelowej, zastałem tam prawie wszystkich towarzyszów mej podróży. Powitanie było serdeczne, bo ląd stały wywiera wpływ bardzo przyjazny na nasze uczucia. Nieporozumienia i drobne niechęci, bardzo pospolite w czasie przejazdów morskich, ustają jak tylko stopy nasze dotkną stałego lądu.

Kapitan statku powiadomił nas, że zatrzyma się w Point-de-Galles czterdzieści ośm godzin oczekując na wiatr przyjazny, że zatem osoby płynące do Madras lub Kalkuty, mogli użyć tego czasu odpowiednio do woli. Wiadomość ta przyjętą była okrzykami radości, wynajmowano powozy i wkrótce towarzystwo całe, rozbite na małe gromadki, rozjechało się w najrozmaitszych kierunkach wyspy.

Dwóch oficerów ze statku objawiło zamiar jechania do Colombo, stołecznego miasta, będącego siedliskiem rządu i zapytali mnie, czybym nie chciał towarzyszyć im w tej wycieczce. Przystałem tem chętniej na to, że miałem do wręczenia list polecający jednemu z plantatorów wyspy, posiadającemu w tem mieście kantor handlowy.

Za pośrednictwem Amudu wynajęliśmy powóz szeroki i wygodny i bez zwłoki puściliśmy się w drogę.

Siedmdziesiąt mil morskich oddziela Point-de-Galles od Colombo, gdy jednak konie nasze były rącze i przeprzęgi zapewnione, było zatem rzeczą niewątpliwą że przed zapadnięciem nocy przybędziemy do stolicy.

Okolice przebiegane były śliczne, krajobraz jak najrozmaitszy.

Droga biegła wężykiem to nad brzegiem morskim, tak że piana wodna dobiegała do stóp końskich, to znowu w pośród lasu tak gęstego, ze promyk słoneczny nie był w stanie przedrzeć się, to nareszcie wśród płaszczyzn pokrytych domkami mającymi dachy wyrobione z liści kokosowych. Prześliczne owoce zawieszone na gałęziach pociągały ku sobie wzrok przejeżdżających i zdawały się uśmiechać zalotnie. Można było spożywać ich do woli, a to dzięki usłużności małp skaczących po drzewach. Przez złośliwość nie domyślając się wcale, że nam wyświadczają przysługę, rzucały na nas daktylami, figami, bawiąc jednocześnie swemi podskokami i wykrzywieniami.

(*) Trunek wyrobiony z kokosowego orzecha.

Nie dosyć na tem: po nad naszemi głowami unosiły się miliony ptastwa najrozmaitszej barwy, wypełniając przestwór powietrzny brzmieniem śpiewów radosnych. Od czasu do czasu mijaliśmy szerokie stawy i jeziora, ożywione przez gromady rybitw, zimorodków i czapli. To znowu ukazywało się nam morze strojne białą pianą przy brzegach, a w oddaleniu przybierając lazurową barwę. Drożyny i ścieżki pokryte były przechodniami ubranemi prawdziwie po indyjsku, a niosącemi na swych ramionach rozmaitego rodzaju ciężary. Skład ich ciała nie pozostawia nic do życzenia, każden z krajowców może posłużyć za wzór dla rzeźbiarza; przyroda widocznie siliła się, aby wszystkie jej twory w tych stronach odpowiednie były dla wspaniałości słońca i bujnej roślinności.

W dawniejszych czasach wyspa Ceylan była prawdziwym rajem ziemskim. Mieszkańcy przy ograniczonych potrzebach nie pracowali prawie wcale. Przepych króla, jakoteż kast wyższych jako spadkobierców skarbów zbieranych od wieków nie kosztował wiele, to też warstwy niższe były swobodne i szczęśliwe.

(d. c. n.)

Korespondencya z Londynu.

Obok wschodniej, groźnie wysuwa się kwestya chińska. Groźba że barbarzyńcy zaleją Europę. — Oddawanie posad kobietom na stacyach kolei żelaznych. — Vidocq rodzaju żeńskiego. — Odmowa płacenia podatków. — Święta Australii. — Edukacya kobiet. — Profesor Holloway-jego kollegium dla kobiet i pigułki dla... całego świata.— Cudowna działalność ogłoszeń na wielką skalę. — Wuj Tom w Londynie. — Cyganie w Anglii i ich ukryte skarby; zakłócenie miłego spokoju właścicieli wspaniałych willi w Dulwich, z powodu sąsiedztwa cyganów. — Trwoga korporacyi i zakładów miłosiernych w Londynie, z powodu rozciągnięcia kontroli nad ich dochodami. — Królewska Akademia malarstwa; wystawa, odmówione obrazy i współzawodnictwo sir Couts Lindsay. — Autobiografia Hariety Martineau. — Zamęzcia panien Rotschild. — Odezwa rabina Adler.

(Dalszy ciąg).

Przed parą miesiącami odwiedził Londyn słynny wuj Tom, tym razem prawdziwy i żywy, pomimo że mistress Beecher-Stowe tak nielitościwie skazała go na śmierć, przedstawiając w swej powieści, że posiniony i pokaleczony batami i kijami, umierał na barłogu modląc się za swych oprawców, według rytuału baptystów. Publiczność angielska wie dobrze, iż wuj Tom nie umarł, nie zlękła go się więc, nie wzięła za gościa z tamtego świata i z wielkimi honorami podejmowano go w najświetniejszych salonach. Wiadomo że dwóch już samozwańców nadużyło dobrej wiary Stowarzyszeń ewangelickich; pierwszy przedstawiając się za wuja Tom, zebrał sobie dość znaczną sumę i znikł właśnie w chwili gdy odkryto jego oszukaństwo; drugi wybornie odgrywał swą rolę, wylądował w Liverpool, tam obłowiwszy się udał się następnie do Manczester i także świetnem cieszył się powodzeniem. Ale na nieszczęście pewnego razu zapomniał iż jedną z głównych cnót wuja Tom była wstrzemięźliwość, i spił się tak okropnie że policya znalazła go w rynsztoku, a murzyńska jego cera znikła za potarciem mokrej gąbki. Tym razem odwiedził Londyn prawdziwy wuj Tom, ów przed-

miot żywego współczucia całej Europy, którego uważają za jeden z głównych powodów wojny domowej w Ameryce. Rzeczywiste jego nazwisko jest Józef Henson, jest on pastorem baptystów, a tak więc ma prawo do tytułu „wielebny" mimo swej czarnej cery i opozycyi duchowieństwa anglikańskiego.

Gdy pierwszy raz ukazał się w salonie koronera Temple, żywe wywarł wrażenie na obecnych widok tego ośmdziesięcio-sześcioletniego starca, jeszcze krzepkiego i zdrowego, pomimo tak podeszłego wieku i męczarni jakie ponosił. Starzec dumnie podnosił głowę, opowiadając straszne dzieje swego niewolniczego życia w plantacyach Południa; pokazywał blizny pozostałe po licznych ranach i ślady rozpalonego żelaza jakie przykładano mu do ciała, zawsze za jedną i tę samą zbrodnię, że śpiewał pieśni pobożne w godzinach, które dobry niewolnik dbający o dobro swego pana powinien poświęcić spoczynkowi, aby nazajutrz miał dość sił do pracy. Dwa długie szwy na policzkach, na czole znak od kuli, rozszarpane lewe ucho — oto świadki okrucieństwa i cierpień jakie przetrwał; jednak ani głód, ani więzienie, kajdany na rękach, kule u nóg, nic nie zdołało złamać woli i zachwiać tej silnej duszy. W pośród najstraszniejszych cierpień chwalił Pana i składał mu dzięki za zsyłane próby. Wuj tom żywe w ogóle obudził współczucie, a szczególniej też wśród współwyznawców swoich, teraz więcej niż kiedykolwiek ożywionych zapałem prozelityzmu. Wielebny Józef Henson powrócił do swej słynnej chaty wuja Tom, tkliwie żegnany przez wszystkich, a co ważniejsza zabierając zebraną ze składek sumę 1,200 funt. szterl. która zamieniona na rentę Państwa, zapewnia mu spokój i dostatek choć na koniec życia.

W wielu krajach, a szczególniej w Anglii, odnajdawniejszych czasów krążyły legendy o bajecznych, tajemniczych skarbach zostających w posiadaniu cyganów; jednak od pewnego już czasu przestano temu wierzyć. Cyganie stracili dawny urok i uważani są powszechnie tylko za włóczęgów i złodziei. Otóż obecnie zdarzenie jakie miało miejsce w okolicach Londynu, przypomniało dawne legendy, a co więcej, przynajmniej do pewnego stopnia, największym niedowiarkom wierzyć w nie każe.

W okolicach Londynu leży arystokratyczna wieś zwana Dulwich, zamieszkana prawie wyłącznie przez bogatych dorobkowiczów, nadzwyczaj zważających na to z kim mają sąsiadować. Za wynajęcie domów i mieszkań opłaca się szalone sumy; do koła wznoszą się wspaniałe wille, stojące wśród przepysznych zbytkownie utrzymywanych ogrodów. Jest tu dom przytułku, ale przyjmują do niego tylko zrujnowanych kupców i przemysłowców, aby otoczeni przepychem, mogli zapomnieć że już nie są u siebie. Dulwich posiada także piękną galeryę obrazów, w której znajduje się największy w świecie zbiór obrazów Teniers'a, oraz pierwszorzędne kolegium.

Otóż straszny grom uderzył i zasępił jasny horyzont tego ziemskiego raju.

Naprzeciw wspaniałego pałacyku jednego z najbogatszych mieszkańców, rozciągał się plac rozległy, od dawna niezabudowany, a należący do pewnego rybaka w Londynie, tak bogatego iż niepotrzebował sprzedawać go za zwykłą cenę, tym więcej iż był przekonany że właściciel pałacu musi koniecznie go kupić. Tak więc zgłaszającym się nabywcom podawał tak szalone ceny, iż każdy musiał się cofnąć, a właściciel pałacu ani myślał o nabyciu, nie lękając się aby ktoś zapłacił tak przesadzony szacunek. Aż pewnego poranku przerażenie ogarnęło wszystkich mieszkańców Dulwichu; ujrzeli bowiem na placu na który każdy pożądliwie spoglądał, jakąś dziwaczną bandę mężczyzn, kobiet i dzieci, jednych pieszo, drugich na osłach, którzy na domiar zadziwienia zaczęli rozkładać liczne namioty płócienne, a następnie rozpalili około nich biwakowe ogniska, przy których gotowała się w kociołkach strawa wydająca woń nader niemiłą dla węchu rozpieszczonych bogaczy. Była to banda cyganów obejmująca w posiadanie grunt nabyty na wagę złota przez ich naczelnika, który nieodstraszony bajeczną ceną zapłacił gotówką, aby tam osiedlić się na stałe. Pojmiecie łatwo przerażenie, gniew i wściekłość, jakie ogarnęły dostojnych mieszkańców, a tu nie ma żadnego środka ratunku. Papiery przybyszów są w zupełnym porządku, a ich naczelnik nie chce odprzedać placu, pomimo że mu ofiarowano znacznie jeszcze wyższą cenę. Udano się do władzy; odpowiedziano że dopokąd cygani nie przekraczają w niczem praw krajowych, mają równe prawo do opieki rządu jak wszyscy inni poddani J. K. Mości, i że w prawodawstwie angielskiem nie ma artykułu, mocą którego możnaby zmusić cygana do sprzedaży swej własności. I tak zgraja obdartych włóczęgów osiedliła się w pośród kwiatu mieszczańskiej arystokracyi, która już w tem tylko jedyną pokłada nadzieję, że może jeszcze uda im się pozbyć niemiłych sąsiadów, na mocy przepisów sanitarnych przeciw niechlujstwu, od którego przybysze pewnie powstrzymać się nie zdołają.

Dotąd, o ile wiadomo, w całej Anglii znajdowało się tylko jedno stałe koczowisko cyganów, w hrabstwie Durham. Tworzą oni tam oddzielną gminę, pobudowali sobie, wprawdzie drewniane i prędko dające się rozebrać, ale jednopiętrowe domy; mężczyźni po większej części trudnią się handlem koni a kobiety wypletają wyroby słomiane lub zajmują się wróżbiarstwem, rozchodząc się po okolicy i roznosząc przedmioty drobnego handlu. Powszechnie utrzymują, że mają oni pewne schronienie w New-Forest; gdzie mogą się schronić wszyscy cyganie poszukiwani przez policyę, oraz „przechowywać niezliczone skarby" pochodzące z kradzieży lub nabyte za kradzione pieniądze, zanim zostaną wywiezione z Anglii. „Minęło już dwa wieki, powtarzają stare kobieciny, od czasu jak zgromadzają tam bajeczne skarby, i nikt nie dowie się o tajemniczej skrytce, dopokąd cygani włóczyć się będą po świecie." Że jest w tem coś prawdy, nie ulega wątpliwości; dziś już np. jest dowiedzionem, że srebrna pół-kolumna która tak zwracała uwagę wielbicieli starych zabytków na wielkiej wystawie paryzkiej, została kupioną przez króla cyganów za 75,000 fr. z wielkim żalem złotnika Emanuela, który do dziś dnia nie może odżałować, że ten cudowny wyrób złotniczy stracony został dla świata. Piękny zegar zabrany podczas rabunku z letniego pałacu cesarza chińskiego, został także nabyty przez tego cygańskiego monarchę; a jest to rzeczywiste arcydzieło zegarmistrzowskiej roboty; był to podarunek ofiarowany przez Ludwika XIV władzcy niebieskiego państwa. Fakta te wszystkie rozbudziły uwagę publiczną, a obecnie więcej tu jeszcze zajmuje się cyganami, z powodu świeżo wytoczonego procesu rozwodowego. Młodzieniec bogaty, potomek jednej z najznakomitszych rodzin, zakochał się szalenie w pewnej cygance; latał za nią po świecie, pojechał aż do Norwegii gdy tam udała się jej banda, i póty błagał i zaklinał, aż nakłoniła się go poślubić. Ale cóż! dzika córa lasów nie mogła przyzwyczaić się do cywilizowanego życia, i uciekła do swoich, opuszczając wspaniały pałac przy Belgravia i ubóstwiającego ją męża. W całym Londynie mówią teraz o cudownej piękności cyganek i o bajecznych skarbach ukrywanych przez ich króla.

(d. n.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Sabinie S. w Sworzanach. Żądane książki posłaliśmy z wyjątkiem części 4 Jeskego, która dotąd jeszcze prasy nie opuściła. Pozostało w depozycie naszym rs. 2 k. 27.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w trzecim kwartale r. b., wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . rs. 4.

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Przyjaciela Dzieci Nr. 25 wyszedł z druku i zawiera:

Kupcy Japońscy (z drzeworytem). Dramat w Meksyku. Pogadanka z Ojcem. — Na drogę (wiersz). w Dodatku: Kto tu lepszy? (z drzeworytem). — Dwie Indyczki.—Do Jaskółki (wiersz).—Przygody Janka i Marylki.—Łuszczaki (z drzeworytem). — Ryszard Wittington. Nagroda (wiersz).

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 9 (21) Іюня 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 25.

N. 1 i 32. Ubranie domowe z vêtement.

Przy sukni z oksfortu lub innego letniego, bawełnianego materyału, dodane są przy wszystkich szwach i przy garnirunku, wypustki z grubym sznureczkiem z materyału w innym kolorze. Na modelu spódnica była z oksfortu gładkiego, a vêtement w deseń marmurkowy. Garnirunek spódnicy wynoszący razem 26 cent. szerokości, składa się z plisowania 18 cent. szerokiego, wyciętego w zęby mające 9 cent. górnej szerokości a 8 głębokości; fałdki plisowania $^3/_4$ cent. szerokie, w rogach zębów zchodzą się do środka a na wgłębieniach rozkładają w kontrafałdę 2 cent. szeroką. Pod zęby podszywa się skośną, 10 cent. szeroką bardzo mało nadmarszczoną falbanę, a w górze daje plisę z wypustkami i wązki nagłówek.

Zmniejszony rysunek i rozmiary vêtement (do którego za podstawę służyć może forma do ryc. 10—11 w N. 10 Tygodnika), podajemy na ryc. 32; z jednej strony bryt tylny fałdowany kraje się razem z boczkiem, a plecki przecinane dają się oddzielnie, z drugiej strony boczek jest długi oddzielny, a bryt dodany jest przy pleckach, przeciętych tylko w górnej części. Z tej strony fałdy górne są ściśle ułożone i pod plecki podszyte, z przeciwnej strony odcięte plecki zachodzą pod spód, a bryt do 30 cent. zfałdowany zachodzi w sposób wskazany na ryc. 1, na wierzch aż do miejsca oznaczonego na pleckach gwiazdką.

N. 2—3. Suknia ze stanikiem bluzkowym, vêtement i kapelusz dla niedorosłej panienki.

Suknia z jasno-niebieskiego gładkiego i w ciemniejsze paski kretonu, z wypustkami z ponsowego szwajcarskiego perkalu, do domowego ubrania składa się z bluzki, spódnicy i szarfy, do wyjścia na ulicę dodaje się vêtement w paski i kapelusz z gładkiego perkalu. Bluzka której formę w krótce podamy wszyta jest w karczek a w pasie podszyta listewką do marszczenia; marynarski kołnierz najlepiej uszyć osobno i wiązać na końce ze wstążki. Szarfa którą i do vêtement nosić można, cięta skośnie z kretonu w paski i ułożona w środku w 7 fałd, ma 21 cent. szerokości, a 260 długości, część fałdowaną podszywa się sztywnym muślinem. Pod vêtement bez rękawów formą princesse, nie daje się wcale podszewki. Środkiem z przodu dana jest skośna gładka plisa, a zapięcie proste na płaskie guziczki urządza się z boku przy plisie. Do ryc. 3 dodany fartuszek ubrany plisami, koronką nicianą i wyszyciem.

N. 4—9. Serweta do nakrycia stołu i serwetki ozdobione haftem krzyżowym i oszyte nicianą koronką.

Serweta do kawy mająca 90—100 cent. szerokości, a 100 do 120 długości i małe serwetki trzymające 40 cent. w kwadrat, ozdobione są haftem krzyżowym robionym na płótnie, bawełną w jednym lub dwóch jasnych kolorach. Płótno dobiera się grubsze i nie zbyt gęste, ażeby nitki odznaczały się wyraźnie i można było nie podkładać kanwy; na każden krzyżyk bierze się 3 nitki w kwadrat. Brzegi zakończa się frendzlą siepaną albo oszywa nicianą koronką.

N. 10. Serwetka na mały stoliczek albo półeczkę. Robota krzyżowa i kratka ażurowa na kanwie płóciennej.

N. 12. Wszywka wywodzona na tiulu.

N. 13. Parasolik haftowany z frendzlą wiązaną, przyrabianą.

Przy czarnym jedwabnym parasoliku, podszewka, frendzla i obrączka pleciona są koloru ponsowego. Deseń haftuje się ściegiem płaskim i sznureczkowym filozelą w kolorze ponsowym do cieniu. Inny łatwy szlak podaje ryc. 14; pod materyę podkłada się tiul czarny grosbotowy, brzegi obrabia się łańcuszkiem, materyę wycina w miejscach wskazanych, ażeby podszewka kolorowa przeglądała przez tiul. Laska czarna drewniana pięknie rzeźbiona, nabijana jest srebrem.

N. 15. Parasolik z frendzlą sznelową. Kulki przy frendzli powinny być tego co podszewka koloru.

N. 16—18. Neseser toaletowy podróżny. Haft kolorowy.

Materyał: Sukno ponsowe, filcowe na wierzch, skóra amerykańska na podszewkę, do haftu włóczka kastorowa i angielska w różnych kolorach. Wewnętrzne urządzenie neseseru na wszelkie przybory toaletowe (jak na szczoteczki, grzebienie, szpilki i t. p.), przedstawia ryc. 18, deseń do haftu podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 17. Podłużnie kładzione nitki włóczki kastorowej w dwóch cieniach, szafirowych przeszywa się filozelą maisową.



N. 2. Ubranie dla młodej panienki. Patrz ryc. 3.

N. 1. Suknia z vêtement. Wskazanie kroju vêtement na ryc. 32.

N. 3. Suknia z bluzką dla młodej panienki. Patrz ryc. 2.

N. 19. Kapelusz słomkowy.

Rondo $6^1/_2$ cent. szerokie, plecione jest z grubej słomy, a główka 12 cent. wysoka z słomki cienkiej. Wstążka 6 cent. szeroka i pióra koloru cardinal, stanowią ubranie.

N. 20. Kapelusz kretonowy.

Do letnich kretonowych albo muślinkowych kostiumów, bardzo używane są kapelusze z tego samego materyału, które na foremce tiulowej lub muślinowej łatwo można własnoręcznie ubrać. Model był z kretonu gładkiego i w paski niebieskie, z wypustkami ponsowemi.

N. 21—23. Futerał na pled i inne drobiazgi podróżne. Haft gobelinowy na kanwie nicianej.

Zwierzchnią część futerału stanowi kawałek szarej płóciennej kanwy mający 90 cent. długości a 50 szerokości, którą następnie składa się we dwoje; deseń wyszywa się ściegiem gobelinowym włóczką lub kordonkiem w dwóch cieniach bronzowych lub zielonych. Deseń i grubość kanwy podaje ryc. 22. Dwa pasy kanwy, tej co szlak szerokości, podszyte płótnem, naszyte są przez futerał i zapinane u dołu na guziki. Z takiegoż paska podszytego skórą amerykańską, urządzone jest ucho noszenia. Pod całą powierzchnię daje się podszewkę i kieszonki wskazane na ryc. 23, służące do schowania kaloszy, chusteczek i t. p. przedmiotów; kieszonki zapinane są na guziczki lub ściągane na elastykę. Brzegi futerału i pasów obrobione są ściegiem dzierganym; brzegi poprzeczne zdobi frendzla macramée, wiązana z nitek siepanej kanwy z dodaniem włóczki podług próbki ryc. 22.

N. 24. Kokarda ze wstążki i koronki.

Różowa wstążka serge $9^1/_2$ cent. szeroka i biała 7 cent. szeroka koronka, użyte były na kokardę z końcami 13 cent. długiemi, zakończonemi frendzlą siepaną $2^1/_2$ cent. szeroką.

N. 25. Kokarda z wstążki w czterech cieniach.

Na kokardę użyta wstążka serge $9^1/_2$ cent. szeroka w czterech cieniach wodno-niebieskich. Z najciemniejszego cieniu daje się dwa spodnie końce 14 cent. długie, z frendzlą siepaną 2 cent. szeroką, z dwóch następnych cieni tnie się kawałki 4—5 cent. długie na frendzle wysiepane i naszywa na końcach pierwszych w ten sposób ażeby frendzle $^3/_4$ cent. zachodziły jedne na drugie. Końce zwierzchnie 10 cent. długie i węzeł są z cieniu najjaśniejszego.

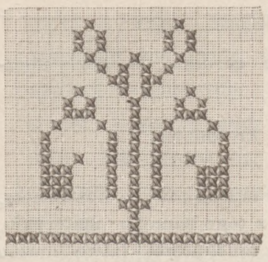
N. 26. Ubranie dla dziecka.

Biała muślinowa sukienka bluzkowa z wyciętym stanikiem i krótkiemi rękawkami garnirowana koronką; szarfa i kokardy ze wstążki lub materyi niebieskiej. Kapelusz biały słomkowy z rondkiem ze słomki szafirowej, otoczony wiankiem z bławatków i maku; na wierzchu główki upięta suta kokarda ze wstążki.

N. 27. Długa mitenka siatkowa. Próbka siatki i wyszycia ryc. 10 w N. 26.

Materyał: Jedwab kordonkowy nie zbyt gruby; wałeczek stalowy, dwa fiszbiny albo drewniane linijki 2 i 3 cent. szerokie.

Górną część mitenki zaczyna się na o. 40 i robi w koło na drucie dobranym podług próbki ryc. 10; 60 obrobień równych (bez gubienia lub przybierania stanowi górną

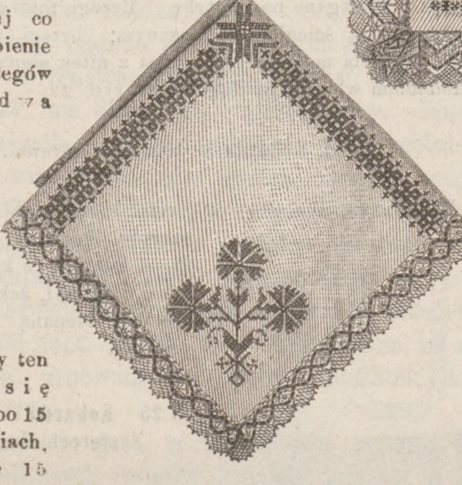


Szlaczek do ryc. 4.

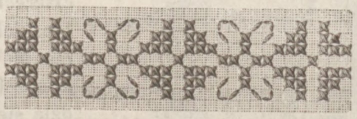
część mitenki, którą z brzegu górnego obrabia się raz na linijce węższej, do przewleczenia wstążeczki lub elastyki, następnie 2 razy na wałeczku stalowym, a nakoniec na linijce szerszej i na wałeczku, robi się szlaczek dokładnie wskazany na próbce ryc. 10 w N. 26. Potem od strony ręki obrabia się raz na linijce węższej, biorąc 3 oczka w każde, które w drugiem obrobieniu na wałeczku zbiera się na jedno, a 4 razy na wązkiej linijce sposobem przekładanym przewłócząc ciągle w -gie obrobienie, dwa przy sobie będące o. jedno przez drugie. Po tych obrobieniach znów trzy razy w jedno o. jak wyżej, a następnie zacząć część z palcem i klinikiem. W tym celu w 1-sze i 7-me oko pierwszego obrobienia bierze się po 2 o., które następnie przerabia się każde oddzielnie, dalej co 3-cie obrobienie zawsze z brzegów klina po dwa oczy, ażeby ten rozszerzał się stopniowo; po 15 obrobieniach, gdy będzie 15 o. klina, dodać od spodu ręki nowych o. 5, złączyć klin w kółko, a otrzymane o. 29 obrobić dwa razy, potem co trzy obrobienia, z obydwóch brzegów 5 o. nowo przybranych zrabiać 2 o. razem, zwężając stopniowo palec do o. 16-tu. Nakoniec obrobić kilka razy gładko i zakończyć szlaczkiem. Zakończywszy palec, przyrabia się nową nitkę do pozostałych o., obrabia 20 razy w koło mitenkę i daje taki szlaczek jak u dołu. Kolor mitenki może być czarny, biały, tilleul lub asperge, wyszycie w kolorze takim samym, ciemniejszego odcieniu, albo niebieskim ponsowym lub innym jasnym odpowiednim do sukni albo wypustek.



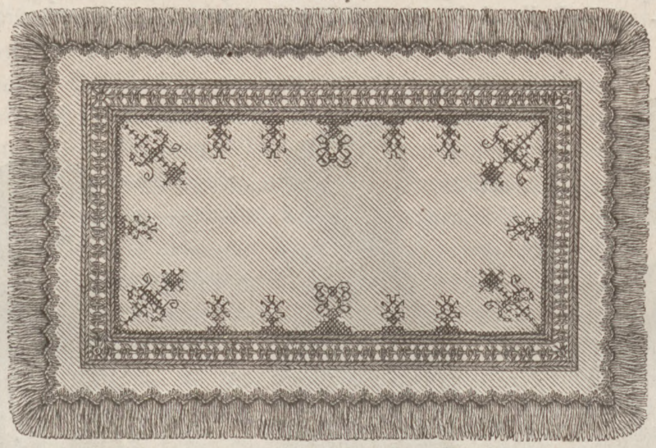
N. 4. Serweta wyszywana krzyżykami, zakończona nicianą koronką.



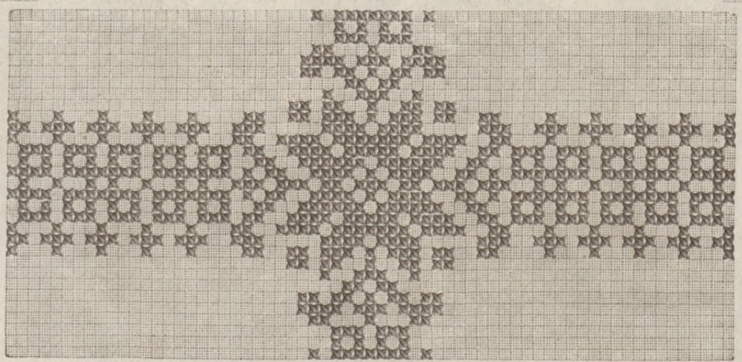
N. 6. Serwetka wyszyta krzyżykami do ryc. 4.



N. 5. Szlaczek do ryc. 4.



N. 10. Serweta na mały stoliczek. Kratka ażurowa i wyszycie krzyżykami.



N. 8. Deseń wyszycia krzyżykami do ryc. 6 i 7.

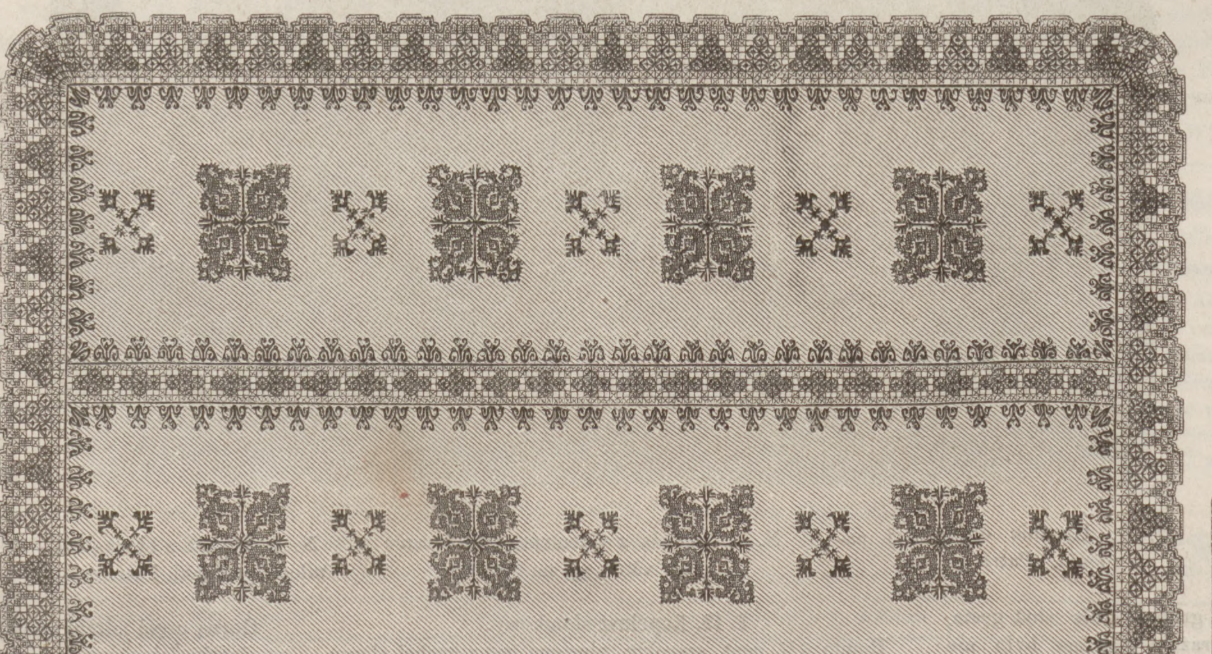
N. 28. Czepeczek z welonikiem.

Welonik z białego tiulu w muszki ma 27 cent. długości a 30 szerokości; z trzech stron oszyty jest koronką 5—7 cent. szeroką, a z czwartej przyfałdowany i do prostego brzegu czółka przyszyty. Czółko ze sztywnego czarnego tiulu, z przodu jest w ząb zakończone, a w koło agremanem i wązką lila wstążeczką objęte. Tiul wązki oszyty koronką i ułożony w drobne rurki albo plisowany, stanowi garnirunek naszyty w koło denka, a przez środek przepasany wstążką blado-lila. Nad czołem upięcie z koronki i wstążki, z której pukiel i dwa końce 15—20 cent. długie spadają na welonik.

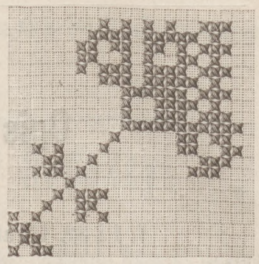


zielone, pomarańczowe, ciemn. ponsowy, jaśniejszy ponsowy

N. 11. Deseń wyszycia do ryc. 11 w N. 26.



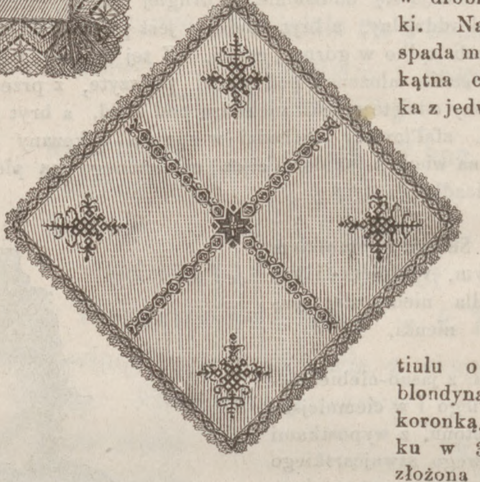
Serweta wyszyta krzyżykami, zdobna siatką gipiurową.



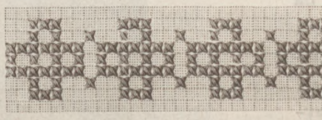
Narożnik wyszyty krzyżykami.

N. 29 i N. 9 w N. 26 Tygodnika. Czepek dla osób nie młodych.

Czółko 50 cent. długie, w środku 9, w brzegach 5 cent. szerokie, z tyłu złączone wązkim, 10 cent. długim paskiem tiulu, stanowi podstawę czepeczka. Do takowej foremki przyszyte jest denko półkola z tiulu jedwabnego, podłożonego tiulem zwyczajnym, mające 30 cent. szerokości a 25 środkowej długości, ułożone w drobne fałdki. Na denko spada mała trójkątna chusteczka z jedwabnego tiulu oszyta blondyną lub koronką, w środku w 3 fałdki złożona i przepięta białą wstążką w sposób na ryc. 9 wskazany. Suta riusza z jedwabnego tiulu, szeroka blondyna i wstążka biała, stanowią garnirunek czepeczka wiązanego pod brodą.



N. 7. Serwetka wyszyta krzyżykami, do ryc. 4.



N. 9. Szlaczek do ryc. 4.

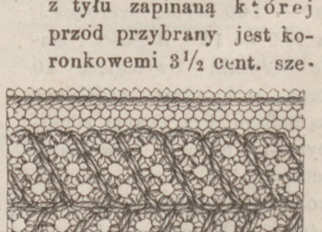
N. 30—31. Dwa pół-krótkie rękawy.

Do lekkich sukien letnich używane są najwięcej rękawy za łokieć sięgające, przybrane koronką lub plisowaniem, odpowiednio do garnirunku przy wykroju szyi, a podszyte plisowaną falbaną z krepy lub cienkiego tarlatanu.

N. 33—35. Suknia z vêtement z tyłu zapinanem.

Ryc. 33 i 34 przedstawia z przodu i z tyłu suknie jednego fasonu z odmiennym rodzajem garnirunku, z lekkiego materyału, jak np. muślin, grenadyna, bareż i t. p. Każda dobrze dopasowana forma princesse, przy pomocy zmniejszonego rysunku N. 35, posłuży do przykrojenia sukni.

Ryc. 33 przedstawia suknię białą muślinową, z tyłu zapinaną której przód przybrany jest koronkowemi $3^1/_2$ cent. sze-

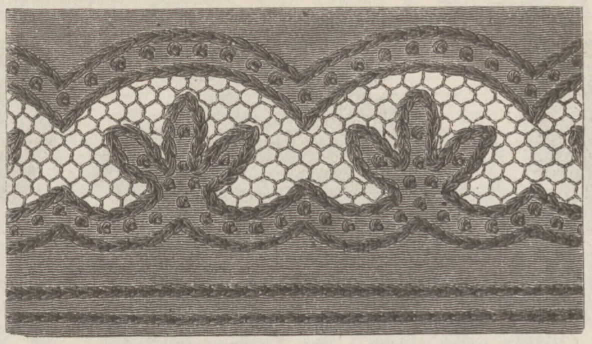


N. 12. Wszywka wywodzona na tiulu.

rokiemi wstawkami przedzielanemi paskami muślinu takiej samej szerokości. Także wstawka dana na szwach i u dołu vêtement. Plisowanie u dołu przy sukni i przy vêtement, oszyte wązitką koronką. Na ryc. 34 widzimy czarną grenadynową suknię przystrojoną czarną koronką i czarnemi jedwabnemi galonami, przerabianemi w deseń kolorowy.



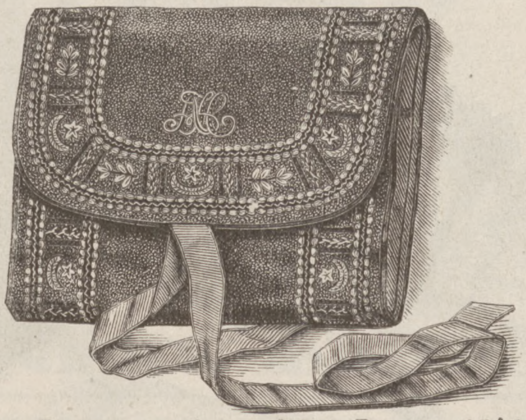
N. 13. Parasolik z haftem i frendzlą. Patrz ryc. 4.



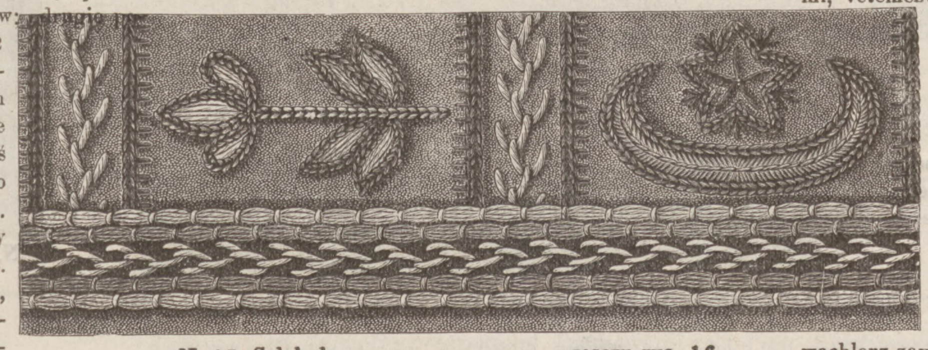
N. 14. Szlaczek do parasolika ryc. 13.

Opis do N. 26.

N. 1—2. Sukieneczka princesse dla małych dziewczynek. Krój odpowiedni można znaleźć w dawniejszych N-rach. Princesse ta ma spódniczkę fałdowaną z tyłu, powyżej zaś tworzy jakby vêtement. Dla małej dziewczynki przody puszczane liczą po 70 cent. długości i po 29 cent. szerokości dolnej i dopełnione są dodaną z wierzchu częścią kaftanikową, która zszywa się z pierwszą połową pleców; drugie połowy pleców po 52 cent. długie zszywają się środkiem aż po za wcięcie stanu, u dołu zaś są otwarte, jak to widać na ryc. 1. Rękawki są przy szwie zwierzchnim u dołu otwarte na 16 cent. Część fałdowana dopełniająca u dołu plecy, liczy 37 cent. długości a 120 cent. szerokości, z boków składa się w kontrafałdy podwójne a w środku na 22 cent. pozostaje gładko i jest naszyta odpowiednim jak suknia przybraniem. Górny brzeg wszywa się w wązki paseczek i przyczepia od spodu do podszewki pleców.



N. 16. Neseser na przybory podróżne. Patrz ryc. 17 i 18.



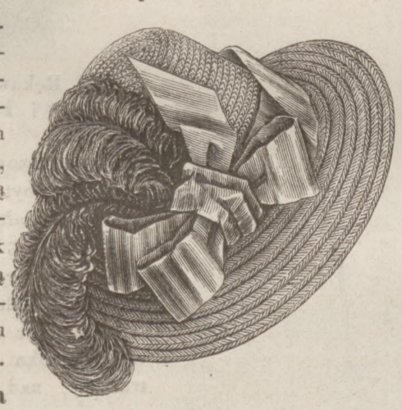
N. 17. Szlak do neseseru ryc. 16.



N. 15. Parasolik z frendzlą sznelową.

N. 3. Sukieneczka z paletocikiem.

Odszyta z perkalu białego w niebieską kratkę, dopełniona jest paletocikiem o dwóch rzędach guzików, ozdobionym szeroką haftowaną falbaneczką. Kapelusik otoczony girlandką niezapominajek, podniesioną z boku kokardą niebieską.



N. 19. Kapelusz z grubej słomki.



N. 21. Torebka na pled i t. p. Patrz ryc. 22—23.

N. 4. Sukieneczka z tyłu zapinana.

Odrobiona formą princesse, z fałdowaniem u dołu pleców, z wełnianego materyału, bronzowego koloru, z wypustkami z materyi bronzowej. Ładne przyozdobienie stanowią bretelki z wypustkami i malutkiemi jedwabnemi guziczkami, dochodzące z przodu aż do dołu sukni, a z tyłu kończące się pod przewiązaniem szarf.

N. 5—6. Dwie suknie letnie dla młodych osób.

N. 5. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. Krój stanika podany na arkuszu z formami do N. 22 i 23.

Grenadyna, bareż, perkal lub t. p. gładki i w prążki stanowić może materyał na to ubranie, do którego do wyjścia na ulicę można dorobić kapelusz z takiego samego materyału.

Stanik zapięty na trzy guziki, ozdobiony ranwersami z gładkiego perkalu, lub z materyi do sukni wełnianej; pod ranwers na około szyi dane fałdowanie 9 cent. szerokie, z tyłu zchodzące się w ząb i zakończone z brzegów wązitką falbaneczką. Tunika z przodu zachodząca aż na falbanę, z lewego boku i z tyłu fantazyjnie podpięta, oszyta jest szeroką frendzlą. Kieszonka wycięta w zęby podszyte plisowaniem, ozdobiona guziczkami i kokardą. Przybranie spódnicy liczy 16 cent. szerokości.

N. 6. Suknia z vêtement wyciętem kwadratowo.

Spódnica z popielatego płótna, zdobna falbaną ułożoną w kontrafałdy, objętą białemi wypustkami; vêtement z tyłu zapinane odrobione z materyału *saphir* w pasy matowe, popielate i ażurowe białe. Brzegi vêtement zakończa plisowanie 8 cent. szerokie i niciana koronka. Kwadratowy wykrój szyi otacza riusza, koronka i plisowanie z crêpe-lisse. Mitenki jedwabne popielate; wachlarz zawieszony na sznurze jedwabnym; kapelusz z florenckiej słomki, podszyty niebieską materyą, zdobny kwiatami.

N. 7. Koronka do sukien letnich.

Robiona szydełkiem, z dodaniem płaskiej tasiemeczki, jest niezmiernie łatwą i pośpieszną. Dolne pikoty i górne obrobienie słupkami nie potrzebują opisu, dodamy tylko że zaczynając gwiazdki zapełniające ząbki robi się * 1 o. ś. zaczepione w tasiemeczkę, 4 o. pow., dalej nawija się cztery razy nitkę na szydełko i odrabia dwa pierwsze długie sł., następnie cztery dalsze stanowiące niższą połowę gwiazdki, których ostatnie oczka zatrzymuje się na szydełku i razem potem jednem oczkiem zbiera, dalej robi się górne sł. przedzielane 3 o. pow. Poczem 4 o. pow. i powrócić od *.



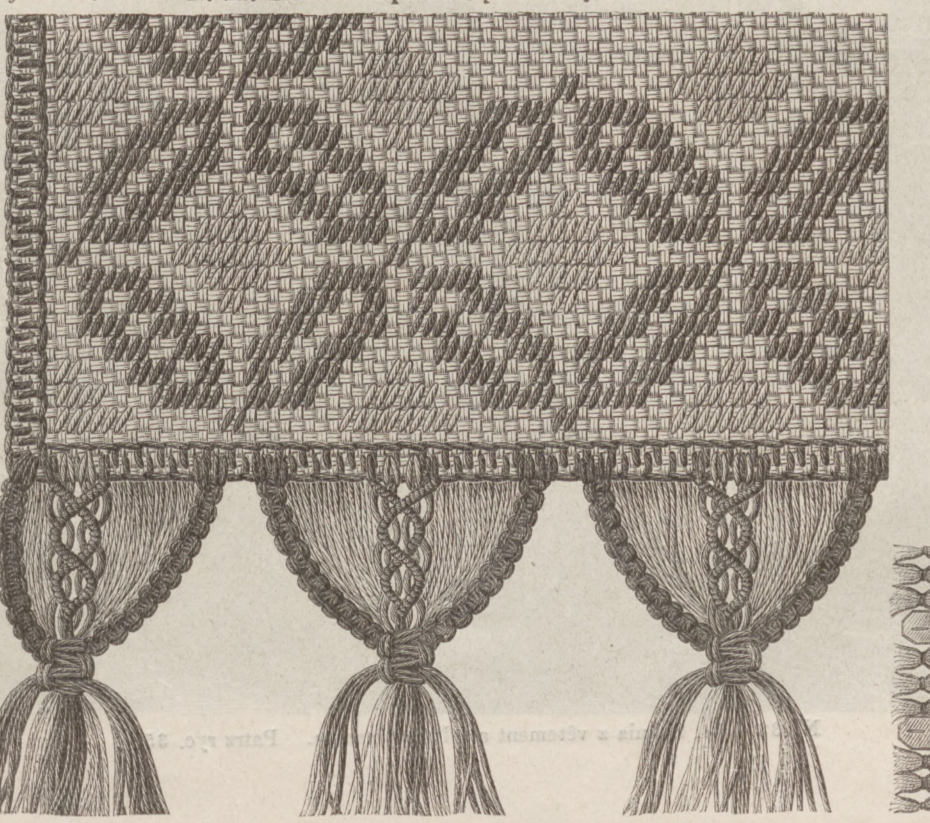
N. 20 Kapelusz do kostiumu perkalowego, z tego samego materyału.

N. 8 i 21. Kapelusz zdobny welonikiem.

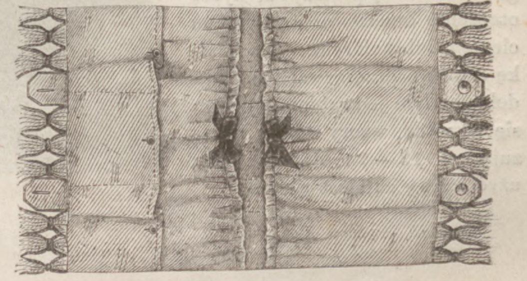
Fasonik z cienkiego czarnego bastu, odpowiedni dla osób starszych przybrany jest poważnie bez kwiatów. Główkę opasuje 6 cent. szeroka repsowa wstążka koloru lila, z przodu upięta w wielką kokardę, z tyłu przewiązana i spuszczona w dłu-



N. 18. Urządzenie wewnętrzne neseseru ryc. 16.



N. 22. Deseń wyszycia na kanwie Jawa i frendzla wiązana do ryc. 21.



N. 23. Urządzenie wewnętrzne do ryc. 21.

gich końcach. Welonik z pięknego jedwabnego tiulu 250 — 300 cent. długi, w środku 70, w końcach skośno ściętych 15 cent. szeroki, zakończony z brzegów i ozdobiony na całem tle rozrzuconemi grelotkami jedwabnemi lub szenelowemi, zarzuca się na kapelusz, w sposób wskazany na ryc. 8 i 21, tak że grelotki z przodu spadają na włosy. Końce przerzucone są pod brodą lub związane z tyłu. Ponieważ tiul przysłania całe opasanie z wstążki, można więc użyć jej w kolorze bardzo jasnym, ładnie przebijającym przez czarne tło welonika.



N. 24. Kokarda z wstążki i koronki.



N. 26. Ubranie dla małego dziecka.



N. 25. Kokarda z wstążki do cieni...

N. 9. Opis w N-rze 25 przy ryc. 29.

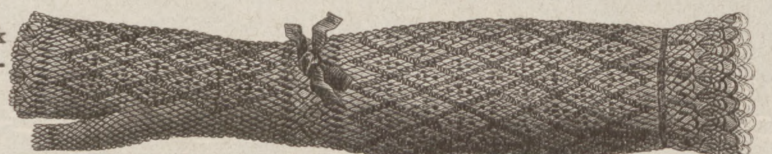
N. 10. Wzór siatki na mitenkę ryc. 27 w N-rze 25.

N. 11—14 i ryc. 11 w N-rze 25. Haft i kratka ażurowa na płótnie lub kanwie; na poduszki, serwety, pasy do mebli i t. p.

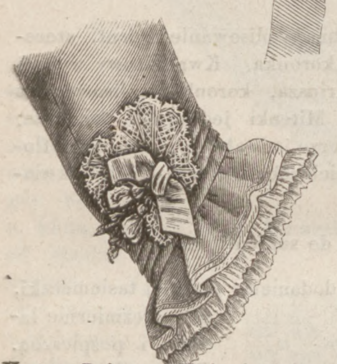
Rycina 11 przedstawia w naturalnej wielkości wzór deseniu wyszytego na płótnie, w



N. 28. Czepeczek z welonikiem.



N. 27. Mitenka robotą siatkową. Patrz ryc. 10 w N. 26.



N. 30. Rękaw półdługi zdobny pliskami koronką i falbanką.

pasy przedzielane rzędami kratki ażurowej.

Jest to nowy rodzaj haftu i deseniu, naśladujący wyszycia zdobiące ubrania mieszkańców wyspy Krety. Haft odrabia się kordonkiem lub filozelą, ściegami na pierwszy rzut oka podobnemi do krzyżyków, są to je-



N. 32. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 1.

dnak tylko ściegi skośnie przeszywane na podłożonej od spodu nitce, jak to ryc. 12 wskazuje. Deseń wyszycia danego na ryc. 11 w dzisiejszym N-rze, podaliśmy na ryc. 11 w N-rze 25. Nitka którą się poddaje powinna być tego samego koloru co ściegi któremi się przeszywa, tylko otoczenie brzeżne daje się innym cieniem lub kolorem. Na kratkę ażurową przeszywaną na modelu białym jedwabiem wyciąga się 16 nitek, wzory roboty wskazują ryc. 13—14. Za tło można użyć kanwy zamiast płótna.



N. 33—34. Suknia z vêtement z tyłu zapinanem. Patrz ryc. 35.

N. 15. Kołdra wyszyta na materyale tkanym w kwadraty.

Do wyszycia używa się kolorowej bawełny, włóczki lub jedwabiu; 5 cent. szeroka frendzla może być wiązana z nitek wysiepanych.

N. 16—17. Dwie spódnice.

Ten rodzaj przybrania jaki widzimy na ryc. 16 i 17 nadaje się zarówno do spódnic jak i do sukien. Miara kostiumowej spódnicy wynosi mniej więcej z przodu 100, z tyłu 110 cent. długości, dolna szerokość 240 lub 260 cent.; wszystkie fałdy zbiera się ściśle do tyłu, przód zaś i boki zostają zupełnie gładkie. Nawet krótkie spódnice muszą być od spodu tylnemi brytami podszyte listewką do ściągania; trochę dłuższe mają dwie takie listewki; miejsce ich przyszycia



N. 29. Czepeczek dla starszej osoby.



N. 31. Rękaw zdobny plisami i koronką.

trzeba dopasować podług wzrostu, żeby zbyt nóg nie wiązały i zostawiały całą swobodę ruchów.

Rycina 16 przedstawia spódnicę z materyału w prążki popielate z niebieskiem; przybranie stanowi falbanka skośna 7 cent. szeroka układana w kontrafałdy, nad nią plisowanie 16



N. 35. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 33—34.

cent. szerokie, plisa 3 cent. szeroka i nagłówek 4 cent. Na ryc. 17 widzimy spódnicę z gładkiego materyału naszytą dwoma plisami w pasy, 4 cent. szerokiemi i plisowaniem 8 cent. szerokiem.

(dok. nast.).